



# Swiatpol

**POLSKA AGENCJA PRASOWA • POLISH PRESS AGENCY**

45 BELGRAVE SQUARE LONDON S.W.1

POLAND FIGHTS

NEW YORK, N. Y.

TEL SLOANE 2214, 2215

413014

III RARA

1945



BIULETYN PRASOWY

P.O. Box 60, London, S.W.1.  
Nr. 1. Rok XIII. Dnia 20. I. 1945.

## WIELKA TROJKA.

Trudno jest dzisiaj, w styczniu roku 1945, przewidzieć co przyniesie spotkanie, na które czeka świat. Być może, iż przyniesie ono wielkie rozczarowanie, być może, iż okaże się jeszcze jedną nieudaną próbą stworzenia podstaw pod przyszły pokój. Być może jednak, że osiągnie ono swój cel i doprowadzi do pełnej współpracy wszystkich wielkich mocarstw na podwórku Europy, Afryki i Azji.

To pierwsze podwórko europejskie jest może wagi/zasadniczej. Na nim bowiem wyprobowuje się istotne zamierzenia walczących aliantów. W krajach wyzwolonych z pod okupacji niemieckiej najwyraźniej uwidacznia się dobra, czy też zła wola państwa, którego siły zbrojne pobiły Reichswerę. Wyzwolenie Europy z pod ucisku niemieckiego nie obchodzi się bez zgrzytów, powodujących upadki tronów, powstawanie regencji, przelew bratniej krwi. Lecz nas niepokoi najbardziej sytuacja w Polsce. Na wyjaśnienie tej sytuacji w czasie spotkania Wielkiej Trójki czekamy z niepokojem. Spotkanie to może przynieść jasną przyszłość naszemu krajowi. W tym spotkaniu także wypatrywać będą Polacy w Kraju zapowiedź lepszego jutra.

Nie trzeba chyba raz jeszcze tłumaczyć naszym sojusznikom zachodnim, że postępowanie Rosji w Polsce budzi w nas wielki niepokój. Wiedzą oni to sami. Przynajmniej ci, którzy chcą wiedzieć. Powstanie warszawskie, masowe aresztowania żołnierzy Armii Krajowej, odsądzenie od czci i wiary generała Bora, wreszcie stworzenie rządu polskiego z siedzibą w Lublinie, a z rozkazami z Moskwy -- to posunięcia nie wymagające komentarzy. Natomiast trzeba nalegać, by w powojennym świecie Polska uzyskała dla siebie należne miejsce, okupione obficie krwią i poświęceniami.

To miejsce może ona uzyskać od razu, bezpośrednio po spotkaniu trzech. Polityka Teheranu powinna, poprzez doświadczenia ostatnich wypadków, raz na zawsze zniknąć z agendy rozmów. Potępiła ją opinia amerykańska, potępiła ją opinia brytyjska ustami swych reprezentantów w Izbie Gmin. Nic o nas bez nas -- winna brzmieć dewiza rządu polskiego.

Nadzieja nasza opiera się na przekonaniu, że mocarstwa anglo-saskie powinny potraktować sprawę polską jako sprawdzian i że zażądają one wyznaczenia ścisłej granicy pomiędzy Rosją Sowiecką a Europą, pozostawiając Polskę istotnie niepodległą, wolną od wpływów obcych i nieuszczerploną. Przeprowadzenie granicy pomiędzy Rosją a Polską, granicy zupełnej, nie tylko formalnej, lecz także i faktycznej, jest pierwszym punktem, który, mamy nadzieję, wielka trójka ustali. Jesteśmy też przekonani, że premier brytyjski i prezydent USA wezmą pod uwagę stanowisko rządu polskiego, odrzucającego zdecydowanie Linie Curzona, jako wysoce krzywdzącą naród i państwo polskie. "Zasady Karty Atlantyckiej powinny być utrzymane i zrobimy wszystko by je możliwie najlepiej realizować" -- powiedział Roosevelt niedawno. Znalezienie formy, pozwalającej drogą pewnego kompromisu uratować niepodległość Polski, a poprzez nią niezależność i swobodny rozwój innych narodów europejskich -- oto zadanie wzniosłe, ważne i prowadzące w prostej linii do zabezpieczenia pokoju również i państwom, których przywódcy obradować będą podczas konferencji.

Przy takim rozgraniczeniu zniknąć powinny wszystkie "komitety" i "rządy", wszelkie kamuflowane agentury obce. Przy takim rozgraniczeniu Rosji od Polski, podobnym jak rozgraniczenie Niemiec od Francji i Hiszpanii od Portugalii, nie będzie obawy, by interesy polskie były nadwyrężone, by z czasem znikły w oceanie interesów Wielkiej Rosji. Niewątpliwie w możliwościach Churchilla i Roosevelta leży przekonanie Stalina, że jest to jedyny sposób zabezpieczenia Europy przed przyszłą wojną. Wszelka inna polityka, wszelkie ustępstwa na rzecz Rosji w sprawie polskiej nie mogą doprowadzić do trwałego rozwiązania. Marjonetkowy rząd polski w Lublinie wskazuje na istotne zamierzenia, jakie ma w stosunku do Polski polityka zagraniczna rosyjska! Zastosowanie do Polski zasad Karty Atlantyckiej będzie istotną gwarancją niepod-

d. c. str. 8.



Logopin



POLSKA AGENCIA PRASOWA - POLISH PRESS AGENCY





Wiele już na przestrzeni dziejów przedsięwzięto prób organizowania międzynarodowego pokoju i wszystkie one, łącznie z Ligą Narodów, zawodziły. Konferencja w Dumbarton Oaks, w oparciu o dotychczasowe doświadczenia, miała wypracować jeszcze jeden, doskonalszy od poprzednich, projekt międzynarodowej organizacji zabezpieczającej pokój i wyposażonej w siłę zbrojną, mogącą w każdej chwili przeciwdziałać agresji. Rezultaty przyniosły jednak rozczarowanie. Przeprowadzono tam mianowicie podział między państwami: na mocarstwa i państwa mniejsze. Pierwsze miałyby w praktyce całkowitą swobodę agresji, natomiast drugie zostałyby obwarowane jaknajsurowszymi rygorami na wypadek, gdyby zamierzały zaatakować państwo inne. Istniałaby możliwość, że odmowa przez państwo mniejsze bezwarunkowego posłuszeństwa wobec jednego z mocarstw mogłaby zostać uznana przez nie za akt dokonania agresji. Jeżeli nawet Rada Międzynarodowej Organizacji nie podzieliłaby tej opinii i odmówiła zastosowania zbrojnej sankcji wobec obwinionego, w ówczes zainteresowane mocarstwo mogłoby założyć veto i zastosować własne sankcje przeciw państwu małemu, jako rzekłemu agresorowi.

Przyszły ustrój świata opierałby się na równowadze sił między wielkimi mocarstwami; każde z nich miałoby przydzieloną sobie sferę wpływów; Ameryka i Pacyfik przypadłyby Stanom Zjednoczonym, Zachodnia Europa - Wielkiej Brytanii, a Europa Wschodnia - Rosji. Historia uczy, że system równowagi politycznej nie wytrzymuje próby czasu i że jest on grą na krótką metę, prowadzącą zawsze do starcia między wielkimi mocarstwami, gdyż jest niepodobieństwem ściśle rozgraniczenie sfer wpływów. Już dziś można wskazać tego przykłady, a można również przypuszczać, że już wkrótce Azja może stać się terenem, na którym spotkają się sprzeczne interesy Stanów Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii i Rosji.

Najlepiej uwidacznia paradoksalność tego rodzaju rozwiązania sprawy dyskusja, jaka odbyła się we wrześniu u.r. w Senacie Amerykańskim, w związku z konferencją w Dumbarton Oaks. Z dyskusji tej wynikało, że Rząd Stanów Zjednoczonych pragnąłby rozwiązać problem automatycznej pomocy państwu zaatakowanemu w ten sposób, że wojska amerykańskie mogłyby interweniować na samo zlecenie prezydenta w każdej sytuacji zagrażającej pokojowi w obrębie półkuli zachodniej, jako sferze wpływów USA, natomiast użycie sił amerykańskich poza tę półkulę mogłoby nastąpić tylko za aprobatą Kongresu i Senatu, wywołaną normalnie do wypowiedzenia wojny. Takie postawienie sprawy narzuca Stanom Zjednoczonym rolę arbitra w każdym sporze południowo-amerykańskim.

W świetle tych projektów, państwa mniejsze byłyby zmuszone do odgrywania biernej roli i w każdym wypadku mocarstwa byłyby uprawnione do użycia wobec nich przemocy, celom podporządkowania ich swojej woli. Dlatego też nie można inaczej określić konferencji w Dumbarton Oaks, jak tylko usankcjonowaniem brutalnej przewagi wielkich mocarstw nad małymi państwami. "Przyszły porządek świata - pisał W.H. Chamberlain w "New Leader" - nie miałby w tych okolicznościach nic wspólnego z zasadami sprawiedliwości, których zastosowanie jest kardynalnym warunkiem trwałego pokoju. Byłby on porządkiem opartym na brutalnej sile i nie różniłby się w swoich założeniach od zamierzonej pierwotnie, a niedoszłej do skutku dominacji państw osi". Taki porządek świata nie byłby niczym innym, jak tylko nakazaniem jarzma na szyję mniejszych państw, przy pomocy którego wielkie mocarstwa mogłyby dowolnie zaprzęgać narody mniejsze w służbę swoich egoistycznych celów.

Kaz. Żakowski.

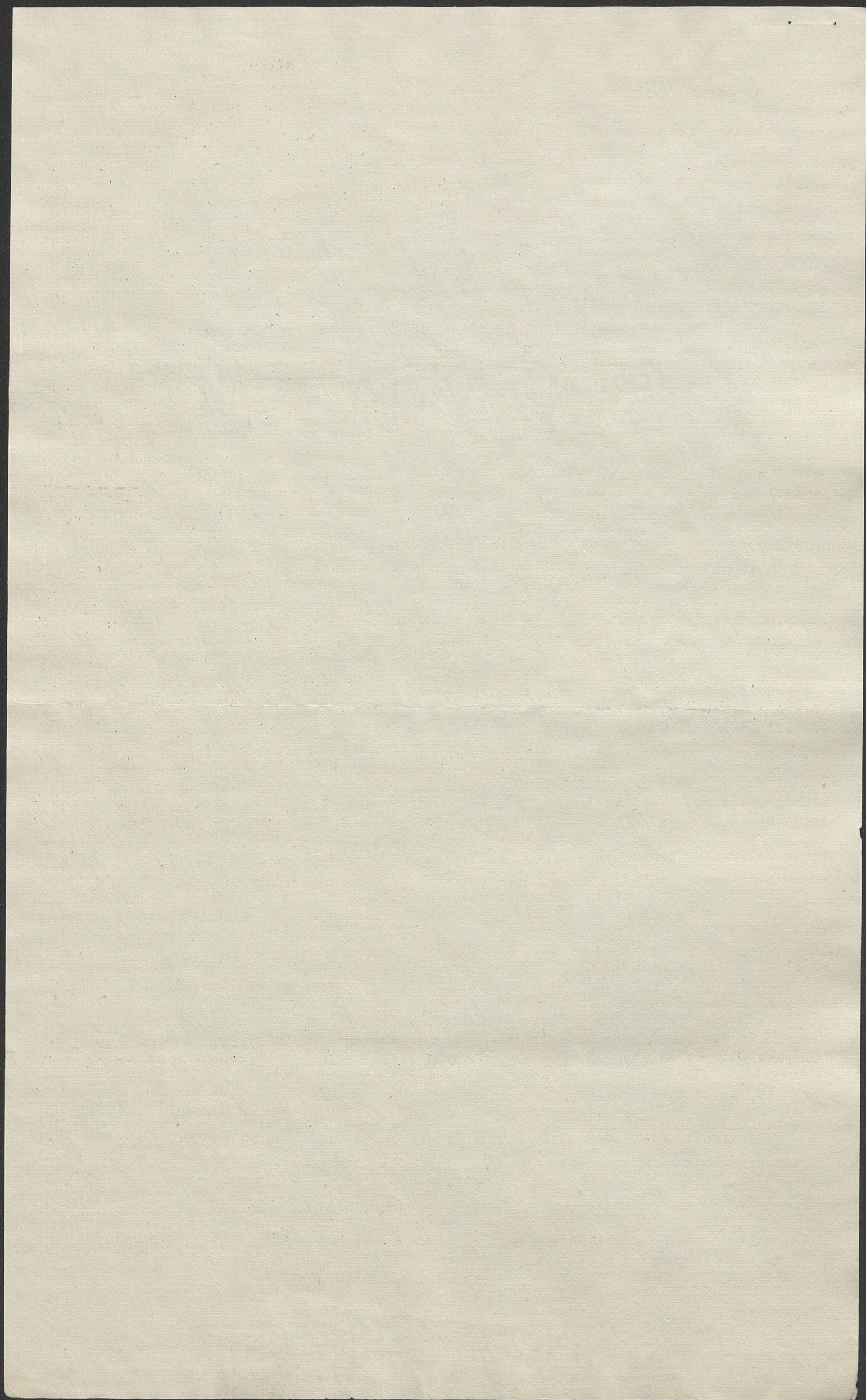
#### SPRAWA POLSKA W AMERYCE

W "Pismach, Mowach i Rozkazach" Piłsudskiego czytamy: "...Główną obawą moją było, że pokój może być zawarty kosztem Polski. Nie chodziło o to protekcji do walczących państw, bo przecież musiałby dbać o własną skórę, nie o Polskę im oczywiście chodziło. Jedyńm krajem, który przystępując do wojny, otwarcie się za nami wypowiedział, była Ameryka w skynnej wilsonowskiej deklaracji czterdziestu punktów..."

Pamiętne słowa Piłsudskiego z przed blisko dwudziestu pięciu laty stają się znowu aktualne. Im bliżej bowiem upragnionego pokoju, tym dalej - jak się wydaje - od realizowania tych zasad współżycia narodów, w imię których Polska pierwsza stanęła w szeregu walczących. W chwili, gdy na miejsce ideowych zasad Karty Atlantykowej wypływają nowe, praktyczne formy w rozwiązywaniu aktualnych zagadnień, myśl nasza ponownie zwraca się w kierunku Stanów Zjednoczonych, tej skarbnicy wszelkich wolności, "arsenału demokracji", których wzrastająca potęga militarna, gospodarcza i polityczna ma się stać rezerwą do przeprowadzenia i utrzymania nowego porządku na świecie, opartego na wolności narodów i poszanowaniu godności człowieka.

Nad strukturą nowego związku wolnych narodów pracują dziś w Waszyngtonie teoretycy i eksperci prawa międzynarodowego, usuwając poprzednie błędy Wilsona, dopasowując zasady ideologiczne do zarysowującej się rzeczywistości, jak powstanie z chwili zawieszenia pokoju. Amerykański plan urządzenia świata ma być tym razem tak skonstruowany, ażeby odpowiadając amerykańskim ideałom, mógł pogodzić utopię z rzeczywistością, z realnie







możliwością wprowadzenia go w życie i, co ważniejsze, utrzymania go w mocy i trwałości. Bowiem tylko realny plan przemawiający do świadomości większości obywateli może spotkać się z przyjęciem i poparciem ze strony społeczeństwa Stanów Zjednoczonych. A bez udziału Ameryki w budowie i utrzymaniu nowego związku narodów, bez gwarancji Stanów Zjednoczonych - wszelka myśl nowego współżycia skazana jest na niepowodzenie.

W wilsonowskiej wizji świata ściśle wyznaczono miejsce niepodległej Polsce. Dzisiaj w narodzie amerykańskim widzimy nie tylko sprzyjaczność Polski, ale szermierza ideałów ogólnoludzkich, orędownika uciśnionych, protektora wszelkich wolności. Czy jedyną i Ameryka nie pójdzie po linii pogodzenia ideałów z interesami, czy wskutek tego ta, która nazwana "natchnieniem narodów" nie padnie ofiarą targów i rozrachunków przy zielonym stole do którego zasiadają wyzerpani wojną zwycięzcy.

Na pytanie, jak się przedstawia dzisiaj Sprawa Polska w Ameryce trudno byłoby znaleźć dziś już odpowiedź. Sprawa Polska w Ameryce jest jeszcze zbyt niewyraźna, nie skryształowana, ażeby ją można było ująć jakimkolwiek konkretnym określeniem. Nie ma jeszcze odpowiedniej koniunktury, wskazująca na wysokość notowań Polski na politycznej giełdzie Ameryki. W szybszym jednak czasie, aniżeli nam się może wydaje, kwestia przyszłości Polski wysunie się na czoło najważniejszych zagadnień polityki zagranicznej Stanów Zjednoczonych. Nie należy zbyt wielkiej przywiązywać wagi do wrogiej Polsce propagandy, usiłującej nas zkać i rozbić, a przede wszystkim osłabić naszą wiarę w siebie i w tych, którzy reprezentują te same ideały praworządności społecznej.

W jaki sposób ukształtuje się sytuacja Polski na tle amerykańskich problemów, zależy będzie w dużej mierze zarówno od nas samych, jak i od wielu czynników od nas niezależnych. Analiza przeszłości i sytuacji dzisiejszej, zorientowanie się w jaki sposób Ameryka zdąży powiązać głoszone przez siebie ideały z interesem własnym oraz sprawą przyszłego bezpieczeństwa, - pozwolą na wyciągnięcie wniosków.

#### Analizie roku 1863-go

Jak bardzo Sprawa Polska i jej powodzenie łączy się z sytuacją Ameryki i możliwością interwencji z jej strony, świadczy fakt niepowodzenia Powstania Styczniowego.

Mieczysław Heiman, wybitny historyk Polonii amerykańskiej, twierdzi, że amerykańscy historycy nie doceniają faktu, iż wybuch Powstania Styczniowego 1863 r. w Polsce przyczynił się do zachowania integralności Amerykańskiego Związku, usuwając zbrojną interwencję Anglii i Francji na rzecz Konfederacji Stanów Południowych, dążących do secesji. Bowiem początek wojny domowej w Ameryce chronologicznie zbiegał się z pierwszymi demonstracjami na ulicach Warszawy, zapowiadających powstanie narodowe. Ten moment wojny między Stanami mistrzowsko wykorzystala dyplomacja rosyjska, uniemożliwiając interwencję Anglii i Francji w sprawie Polski.

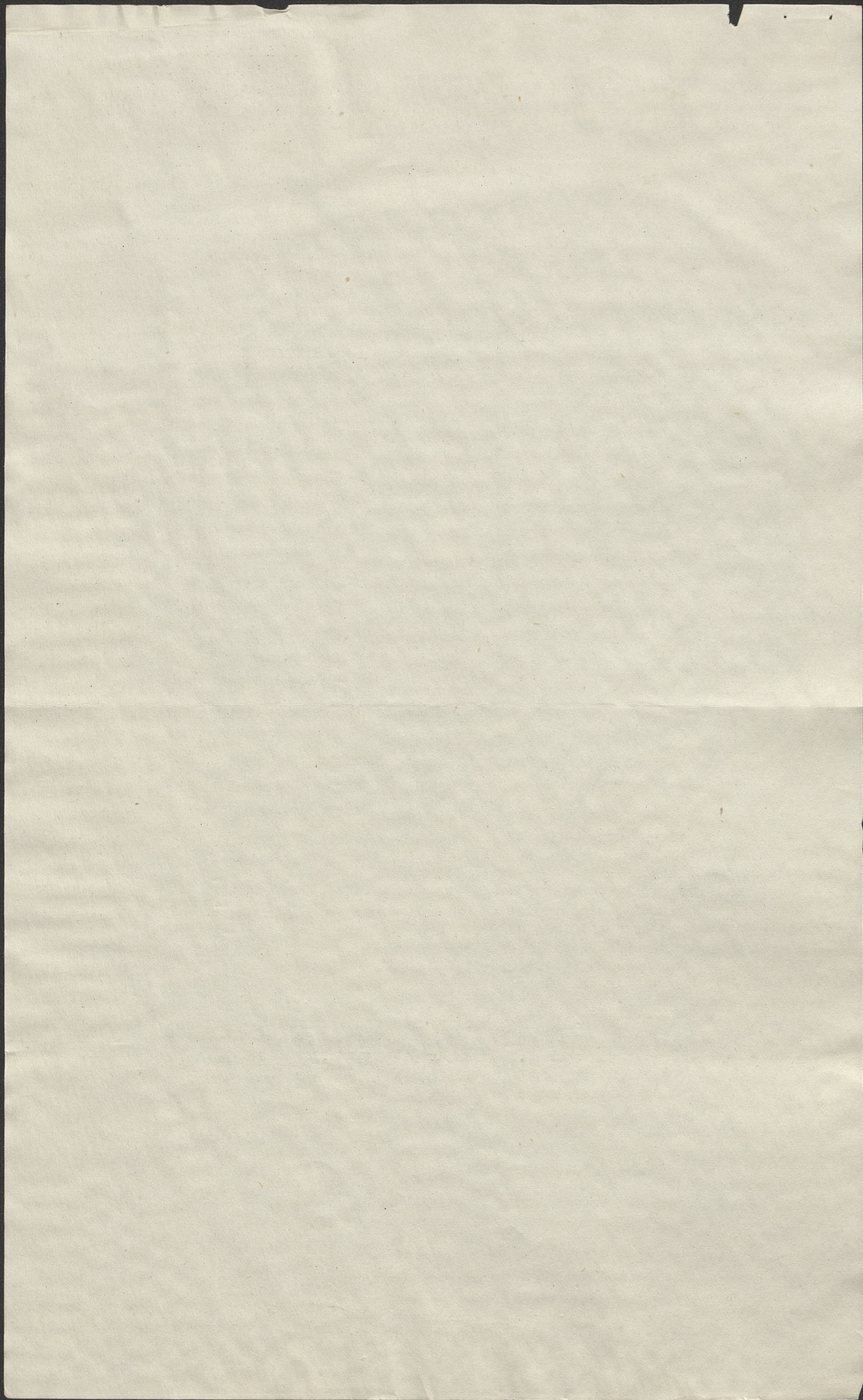
W chwili, gdy powstańcy zorwali się pod wodzą Mierosławskiego do nierównej walki przeciwko caratowi, Stany Zjednoczone zagrożone były w trzecim roku straszliwej wojny domowej, która zagrażała im wewnętrznym rozbitiem. W interesie zarówno Anglii jak i Francji leżało okazanie pomocy polskim powstańcom. Osłabiało to imperialistyczne Rosję, podobnie jak okazywanie pomocy Stanom Południowym w Ameryce wzmacniało ich prestiż i ewentualne późniejsze wpływy. Sympatie propolskie były wówczas niemal że powszechne na całym świecie. Garibaldi we Włoszech, Hugo we Francji, a w Anglii Disraeli i lord Palmerson z entuzjazmem odnosili się do wolnościowych ruchów w Polsce. W Ameryce, która nie dawno wywalczyła sobie byłą niepodległość, prasa poświęcała strony tytułowe i artykuły wstępne polskiemu ruchowi niepodległościowemu, widząc w nim zapowiedź podobnych ruchów w całej Europie. W Ameryce Sprawa Polska urastała wówczas do czołowych problemów, z jej powodzeniem wiązano zwycięstwo Federacji w walkach o utrzymanie całości Unii. Zdawano sobie sprawę, że interwencja Anglii i Francji w sprawie polskiej oddaliłaby wszelką dalszą ingerencję tych państw w wewnętrzne sprawy skłóconych Stanów. Oweczesny prezydent Abraham Lincoln, oraz sekretarz stanu Seward, zajęci przede wszystkim troską o utrzymanie integralności Związku, mimo wielkich sympatii dla Polaków, odmówili Napoleonowi przyłączenia się do anglo-francuskiej interwencji dyplomatycznej na dworze carskim w Petersburgu. Na miejsce Ameryki do słynnej sześćo-punktowej noty przyłączyła się natomiast Austria.

Car Aleksander, mimo nienawiści dla amerykańskiej demokracji, w oficjalnym organie rosyjskiego ministerstwa spraw zagranicznych, oświadczył, że utrzymanie integralności Stanów Zjednoczonych jest najwyższym nakazem i koniecznością dla Rosji. Deklaracja ta znalazła swój wyraz w czynach - rosyjska flotyła popłynęła z Bałtyku do Nowego Jorku, a flotyła azjatycka zawinęła do portu San Francisco. W Paryżu, tak jak w Londynie, ten krok cara przyjęto jako wyraźne ostrzeżenie przed udzielaniem dalszej pomocy Stanom Południowym i przed ewentualną próbą uznania polskich powstańców za stronę wojującą. "Uczyniłem to nie z miłości do Stanów Zjednoczonych - miał wymownie powiedzieć później car Aleksander - lecz do Rosji".

Prawdziwa i szczerza sympatia Anglików do sprawy polskiej znalazła wyraz m.i. w karykaturze tygodnika humorystycznego "Punch" : Lincoln i car gratulują sobie nawzajem sukcesów. Rysunek opatrzono wymownym tytułem - "Extremes meet".

Wizyta w portach amerykańskiej floty rosyjskiej, z której natychmiast wystąpili wszyscy żołdacy, wydani następnie władzom rosyjskim, - zrobiła swoje. W Ameryce nastąpił gwałtowny spadek popularności Polski; zdobyła ją sobie Rosja i jej autokratyczny







Władca. Prasa amerykańska, za wyjątkiem jedynie poważnego New York Times'a, nie zdaje sobie dobrze sprawy z celów wizyty rosyjskiej floty, rozpyliła się w uwielbieniu Rosji, nazywając nawet cara rosyjskim Lincolnem! Ta pochlebna opinia przeniknęła stopniowo do narodu, a powstanie polskie - do niedawna symbol i wzór heroizmu - określano, jako "polską fantazję". Na jednym tylko balu w Nowym Jorku, wydanym na cześć carskich oficerów floty, zebrano ponad milion dolarów, równocześnie zaś New York Herald ostrzegał czytelników przed zbieraniem funduszy na obce cele, zwłaszcza polskie, ponieważ godzą one w interesy jedynego wówczas przyjaciela Stanów Zjednoczonych - Rosji. Niepozabawione prawdy było twierdzenie New York Tribune, że sympatie dla Polski "dziwnie wyszły z mody w Ameryce". To też zbiórka na pomoc polskim powstańcom nie przekroczyła szesnastu tysięcy dolarów...

Gorczałow, rosyjski minister spraw zagranicznych, w odpowiedzi na notę Francji, Anglii i Austrii oświadczył, że powstanie polskie było dziełem obcych, rewolucyjnych agitatorów, wyrażając przekonanie, że twierdzenie to zmieni opinię tych rządów, i że uzyska nawet ich pomoc w ujęciu "polskich rebeliantów".

Uspokoiło to europejskie stolicy. Porządek dzienny nowo wyłonił sprawy. W Stanach Zjednoczonych jednak, po odpłynięciu floty rosyjskiej, obudziła się zdrowa opinia publiczna, przejrzała politycy zręczny manewr cara. Zadrgało sumienie narodu. Nowojorski "Journal" pisał: "Niewiarygodnie się wstydzicie uwielbienia, jakie część naszych obywateli okazuje Rosji!.. Niemcy chyba większej zbrodni na świecie, niż ta, która ciąży na rządach europejskich za rozbiór Polski. Nie było w dziejach świata strony cy bardziej krwawej, bardziej czarnej od zbrodni i występków, niż ta, którą zapisała Rosja swym postępowaniem w stosunku do Polaków!... Czyż mamy się poddać twardeму objęciu rosyjskiego niedźwiedzia i stać spokojnie w chwili, gdy Polska ponownie pograża się w kałużę krwi?..."

Sumienie narodu amerykańskiego budziło się w chwili, gdy na stokach Cytadeli warszawskiej ostatni przywódca powstania z Trauguttom na czele zamykali swy śmiertelną tragiczny okres w dziejach polskiego narodu.

Wybuch Powstania Styczniowego zbiegł się nieszczęśliwie dla Polski z najbardziej trudną sytuacją wewnętrzną w dziejach Stanów Zjednoczonych, uniemożliwiającą jakąkolwiek interwencję Ameryki w sprawie Polski. Powstanie Styczniowe ocaliło integralność Amerykańskiego Związku, nie przyniosło jednak upragnionej niepodległości Polakom.

S. Maciurzyński.

#### OTCHŁAŃ NIEWOLI

Barbarzyństwo niemieckie w Polsce i strasliwą brutalność okupacji hitlerowskiej symbolizuje słowo "Birkenau", słowo, które przetrwa w ludzkiej pamięci przez długie lata.

Birkenau, to przed wojną mała i biedna wieś pod Oświęcimiem - Brzezinka. Mało kto ją znał i mało kto o niej mówił. Od wiosny 1942 roku mówi się o niej ze zgrozą i z ciężkim niepokojem. Ludzkie zły i ludzkie przekleństwa ciąży na tej wsi - nie na polskiej Brzezince, ale na Birkenau, nazwanej tak przez niemieckich prześladowców. Bo Birkenau, to obóz koncentracyjny, w którym Niemcy osadzili dziesiątki tysięcy kobiet, poddanych okrutnemu rygorowi i żyjących w potwornych warunkach.

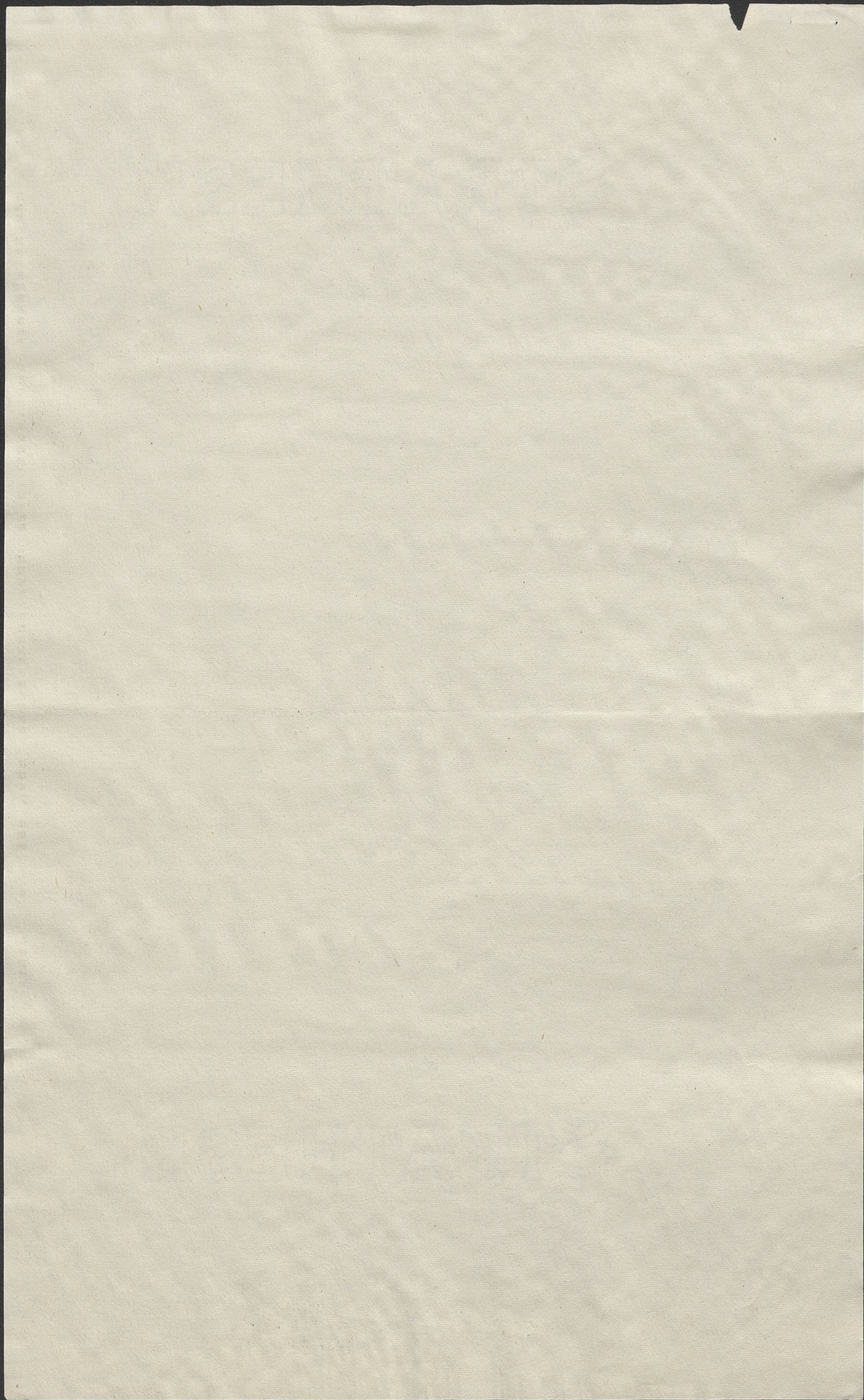
Na mokrych, bagnistych łąkach Brzezinki, pod gołym niebem, otoczeni drutami konali najpierw tysiącami z głodu jeńcy sowieccy. Trupy ich tonęły w bagnach, lub też chowali je towarzysze niewoli płytko, tuż pod powierzchnią, bo nie mieli siły kopać grobów głębszych. A potem na te cementarne tereny nadeszły transporty kobiet, młodych i starych, chorych i zdrowych, analfabetek i uczonych, działaczek politycznych i kryminalistek kobiet różnej narodowości, religii i pochodzenia, zwiózanych przez Niemców z wielu krajów podbitych. W ciągu dwóch niespełna lat zesłano do obozu w Brzezince około 80 tys. kobiet, z czego 65 tys. wymarło. Transporty nowych ofiar przychodzą nieustannie.

Zsyłki do obozu nie opierają się na żadnych dochodzeniach i wyrokach sądowych. Podejrzenie o działalność polityczną, złapanie w obławach, czy w łapankach, przypadkowo aresztowane lub zademonstrowane ze złej woli - wszystkie traktowane są jak groźne przestępczynie.

Obok poważnych i groźnych spraw politycznych, obok kobiet-żołnierzy, wziętych z bronią w ręce - dogorywa Poznanianka, która odmówiła Niemcom sprzedania ulubionego kota. Twardą przycię dzieli z nią dwunastoletnia dziewczynka, co zaganiając ojcowe, przekroczyła niechcąco t.zw. granicę pod Częstochową. Pozostaje tu od dwóch lat, jako ciężka przestępczyni polityczna.

W obozie panują strasliwe warunki zdrowotne. Brak najprostszych urządzeń sanitarnych, brak ustępów, zakłócanie potrzeb naturalnych pomiędzy barakami, całkowity brak wody i niemożność umycia się całymi tygodniami, brud nieprawdopodobny i plaga wszyskiego - wszystko to przynosi w rezultacie wybuchy chorób zakaźnych w obozie. W zimie tyfus, latem malaria, obok nich groźna, ciężka czerwotka, t.zw. "Durchfall" powodują olbrzymią śmiertelność wśród kobiet w Brzezince. Tymbardziej, że przez długi czas chore przebywa-







Wspólnie ze zdrowymi, do szpitala obozowego mogły być przeniesione dopiero przy wyskiej gorączce, a i wtedy niezawiesz oddzielano chorego zakaznie od chorych na przypadłości, niezagrażające otoczeniu. W czasie epidemii tyfusu umierało trzysta kobiet dziennie. Trupy wywlekano z bloku i rzucono na stos, jak szczapy drzewa. Przed każdym budynkiem szpitalnym leżała kupa tych ciał wychudzonych, powykrcanych, o szeroko otwartych oczach i ustach. Zanim wieczorem przyjechały ciężarówki, by zabrać ten plon dzienny i odwieźć do krematorium, trupy były obgryzane przez szczury /jest ich nieprzeliczona ilość na legrze/ i dziobane przez wrony.

Wyżywienie w obozie jest fatalne - rano i wieczorem odwar z liści i ziół, w południe zupa z brukwi, specjalnie odratująca przyrządzona, oraz ćwierć kilograma chleba na dobę. W ten sposób odżywione kobiety zmuszone są przez Niemców do ciężkiej pracy przez dwanaście godzin dziennie. Zimą i latem pracują one przy regulowaniu rzek, po kolana w wodzie, przy zwożeniu kamieni, ubijaniu dróg, rozbiórze starych budynków i t.p. Poprzez ukośne strugi zimnego, jesiennego deszczu widać długi rząd wielkich, ciężkich eks-artyleryjskich wozów, naładowanych gruzem lub śmieciami, sunących przez "lagerstrasse". Wozy te ciągnięto są przez kobiety, niedożywione, wychudłe kobiety w pasiakach. Dwadzieścia ciężkich dyszel i postroiki, szesnaście - po osiem z każdej strony - obraca szprychy kół ruchem niewolniczym, znanym z płaskorzeźb egipskich. Gdy wieczorem kolumny umęczonych kobiet wracają z pracy, zwykle dźwigają one lub ciągną za sobą trupy swych współtowarzyszek, które zmarły przy robocie w ciągu dnia.

Rano przed wymarszem do pracy i wieczorem po jej ukończeniu odbywają się w obozie apele, na których Niemcy sprawdzają obecność więźniarek. Apelo to stanowią okropną, celowo obmyślaną udrętkę dla śmiertelnie zmęczonych kobiet. Przed blokami obozowymi; na mrozie muszą one stać nieruchomo przez kilka godzin, podczas gdy Niemcy wychierają z szeregów, według swego wyłącznego kaprysu, więźniarki przeznaczone na śmierć. Umieszczają je Niemcy w bloku karnym, stanowiącym tylko kilkodniowy etap przejściowy przed odesłaniem nieszczęśliwych do komór gazowych. Nawet chore muszą być wynoszone na codzienne apele, a dozorcynie nie pozwalają ich nakryć, nawet na mrozie. Kiedyś urządzono apel o drugiej w nocy, na klęczkach, do dziewiętej rano. Odbywał się on przed blokiem, na zamarznitych odchodach. Żydówki traktowane w obozie najokrutniej i tracone w sposób masowy, niezależnie od pogody i pory roku stawały nuz do apelu nago. Selekcjonowane na śmierć zamyka się w "bloku śmierci", gdzie nagie i zrozpaczone oczekują swego losu. Nie dostają już jeść, ni pić. Przez okratowane okna dobywa się straszny wycie rozpacz, jęk błagalny: "Wody, wody, na miłosierdzie Boże - wody! Jeżeli wierzyście w Chrystusa - dajcie wody!" Ale za podanie wody, za zbliżenie się do okna grozi śmierć. Pomimo to nie brak Polek, które nie wahały się podawać wodę lub śnieg skazanym.

Brud, głód, epidemie, udrętki i prześladowania fizyczne uzupełniają Niemcy nie mniej ciężką udrętkę ciągłego upokarzania i poniżania godności ludzkiej uwięzionych kobiet. Od wstępnych kroków golenia głów i tatuowania numerów na przedramieniu natychmiast po przybyciu do obozu, zesłane tu kobiety traktowane są przez Niemców jak bezduszne niewolnice, łzone, obrażane na każdym kroku, nieustannie poganiane, bite i poszturcane. Okropność polega na całkowitym zaprzeczeniu i niszczeniu człowieczeństwa. "Häftling", "zang", przybyły do lagru, przestaje być człowiekiem, jest już tylko numerem, bydłem, nieczem. Wszystko mu raczej zostanie wybaczone, niż odruch godności, wstydu, szlachetnego oburzenia.

Tak wygląda życie tysięcy kobiet w niemieckim obozie koncentracyjnym w Brzezince - Birkenau, życie niewolnic XXI wieku. Ale człowieczeństwa i godności ludzkiej w internowanych kobietach złamać się Niemcom nie udało. Niewolnictwo - to zewnętrzny tryb życia narzucony im przez niemieckich okupantów; duchowo - pozostały nieugięte, wolne i wierne zasadom etyki. W obliczu kobiet, które pod ciągłą grozą śmierci nie obawiają się pomóc innym dręczonym i prześladowanym niewolniczkami są niemieccy dozorczy więzienni. Niewolniczkami swych nieopanowanych instyktów brutalności, sadyzmu i strachu, niewolniczkami systemu, który z Niemców uczynił zbrodniarzy - hańbę i pogardę ludzkiej kultury i cywilizacji.

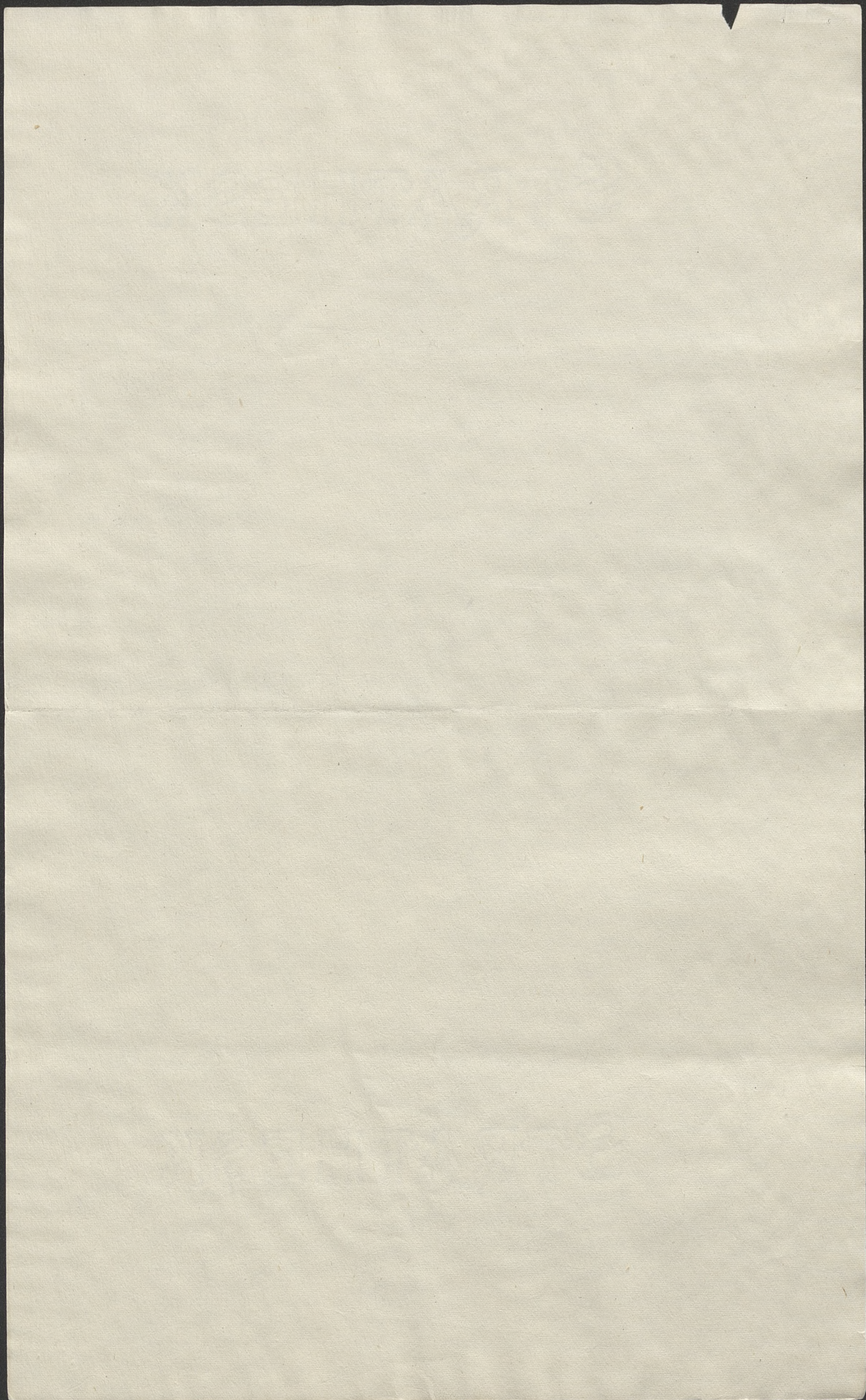
L. C.

#### BEZ PAJERWERKÓW

Pan premier Arciszewski miał podobno wyrazić życzenie, by jego biuro, zatym biuro Prezydium Rady Ministrów, przenieść do jakiegoś skromniejszego budynku, ponieważ obecny wydaje mu się zbyt bogaty i zbyt kosztowny. Do prawdy niema tam żadnych szczególnych zbytków, któreby aż gorszyły miały, dlatego też krzyk, jaki powstał u nas przed dwoma zgorą laty, gdy prezydium wprowadziło się na Kensington Palace Gardens, uważałem za grubą przesadę.

Lecz pan Tomasz Arciszewski kładzie kładzie nacisk na kosztowność lokalu, zajmowanego przez jego biura. To człowiek skromny, nawet bardzo skromny. Cecha, do której nie przywykliśmy na emigracji, gdzie raczej ludzie puszyć się lubią. Obecny







premier stanowi pod tym względem nowość niezwykłą. Nie podkrośla ani tytułu swego, ani, co może ważniejsze, faktu, że pięć bitych lat przebył w Kraju, oraz że tam nie próżnował bynajmniej. Znoważ pewna nowość na emigracji.

Dzisiejszy premier, będąc człowiekiem wyjątkowo skromnym i dyskretnym, ma w sobie jakąś godność, godność, o której sam zdaje się nie wiedzieć; a która przemienia go w człowieka, zniewalając nie tylko swoich, ale i obcych. W przeciwieństwie do niektórych dygnitarzy emigracyjnych, nie twierdzi on przy każdej okazji, że jest zapracowany i że nie ma czasu na rozmowę n.p. z prasą. Byliśmy u niego już dwa razy, on był u nas trzy razy, i jakoś nie patrzył co chwila na zegarek. Znowu cocha niezwykła. Ponadto, choć nie patrzy ciągle na zegarek, przecież nie ma zwyczaju spóźniać się.

Gdy w Noc Sylwestrową powstała w Lublinie karykatura prowizorycznego "rządu" polskiego, dwadzieścia cztery armaty sowieckie oddały salwę i na placach miasta palono ogień sztuczny. Ja, pisząc o premierze prawdziwego, legalnego rządu polskiego, nie mam zamiaru palić kadzideł ani fajerwerków. Nie lubi tego pan Tomasz Arciszewski i nie lubię tego ja sam. Stwierdzam rzeczy, na razie zewnętrzne, które uderzają i przekonują, więc skromność i godność. Sprawiają one, że postać pana premiera wyglądałaby równie dobrze na tle n.p. fabryki, jak na tle pałacu znacznie kosztowniej urządzonego niż obecny. To jakaś wrodzona, bardzo polska cecha dobrego noszenia się i dobrego wychowania, które ma u nas częściej chłop niż półpanek, częściej robotnik niż właściciel fabryki. Popesiak, Tomasz Arciszewski, jest niezmiernie rasowym Polakiem.

Nie palę fajerwerków, mówiąc, że dokonał ważnej rzeczy w krótkim czasie; przy niśsz nam spokój. Wierzymy mu, gdy głosem eichym, ale pokorną stanowczości mówi: "Proszę panów, jest rzeczą niemożliwą, by Polska, która tak wiele włożyła w tę wojnę, miała stracić połowę Swego obszaru." Mówi to z niezmiernym spokojem, bez deklamacji, bez bicia pięścią w piersi czy w stół. Wierzymy, że tak samo i to samo powie, gdy będzie rozmawiał z innymi ludźmi, z ludźmi zewnątrz, którzy lubią bić w stół i podnosić głos. Padnie tam odpowiedź identyczna, grzeczna, ale nie pozostawiająca żadnej wątpliwości: "Proszę pana, jest rzeczą niemożliwą, aby Polska, która tak wiele włożyła w tę wojnę, miała stracić połowę Swego obszaru."

Wydaje mi się, że premier Arciszewski stroni od kruczków, od wybiegów, i że nie wyobraża sobie, aby był zdolny przechytrzyć zawodowców. Sytuacja rządu polskiego jest nadzwyczaj trudna, mianowicie tak trudna, że nie zostaje nic innego, jak tylko jedna, jedyną drogą: na wszystkie propozycje ustępstw i kompromisów odpowiedzieć "Nie". Lecz to "Nie" musi być wolne od jakichkolwiek oślników, nawiasów, czy furtok. Otóż, znowu nie paląc fajerwerków czy kadzideł, stwierdzam, że pan premier Arciszewski należy do ludzi, którzy potrafią to "Nie" powiedzieć tak, jak trzeba.

Gdy obejmował urząd, rozległo się krakanie, że jest to eksperyment, który potrwa co najwyżej dwa dni, no, tydzień, ale nie dłużej. Krakali swoi, krakali obcy, informowani przez swoich. Tymczasem dobita w Izbie Gmin wzmocniła stanowisko rządu, a wypadki lubelskie nie osłabiły go naprzekór salwie ze stu dwadzieścia armat i fajerwerków, jeśli zaś idzie o stosunek n.p. Ameryki, krakanie jest co najmniej przedczesne i nieuzasadnione. Zmiana na stanowisku premiera wykazała, że sprawy polskiej nie da się załatwić pod stołem, oraz że do żadnych ustępstw nie można zmusić nas przez bicie pięścią w stół. Dajcież o nas, które zapadają bez nas, nie mają wagi, byliśmy zaś blisko tej chwili, gdy z naszej strony mogło być cicho, ale tragicznie w skutkach "Tak".

Od tego "Tak" uchronił nas nowy premier. On powie zawsze, że jest rzeczą niemożliwą, aby Polska, która tak wiele włożyła w tę wojnę, miała stracić połowę Swego obszaru.

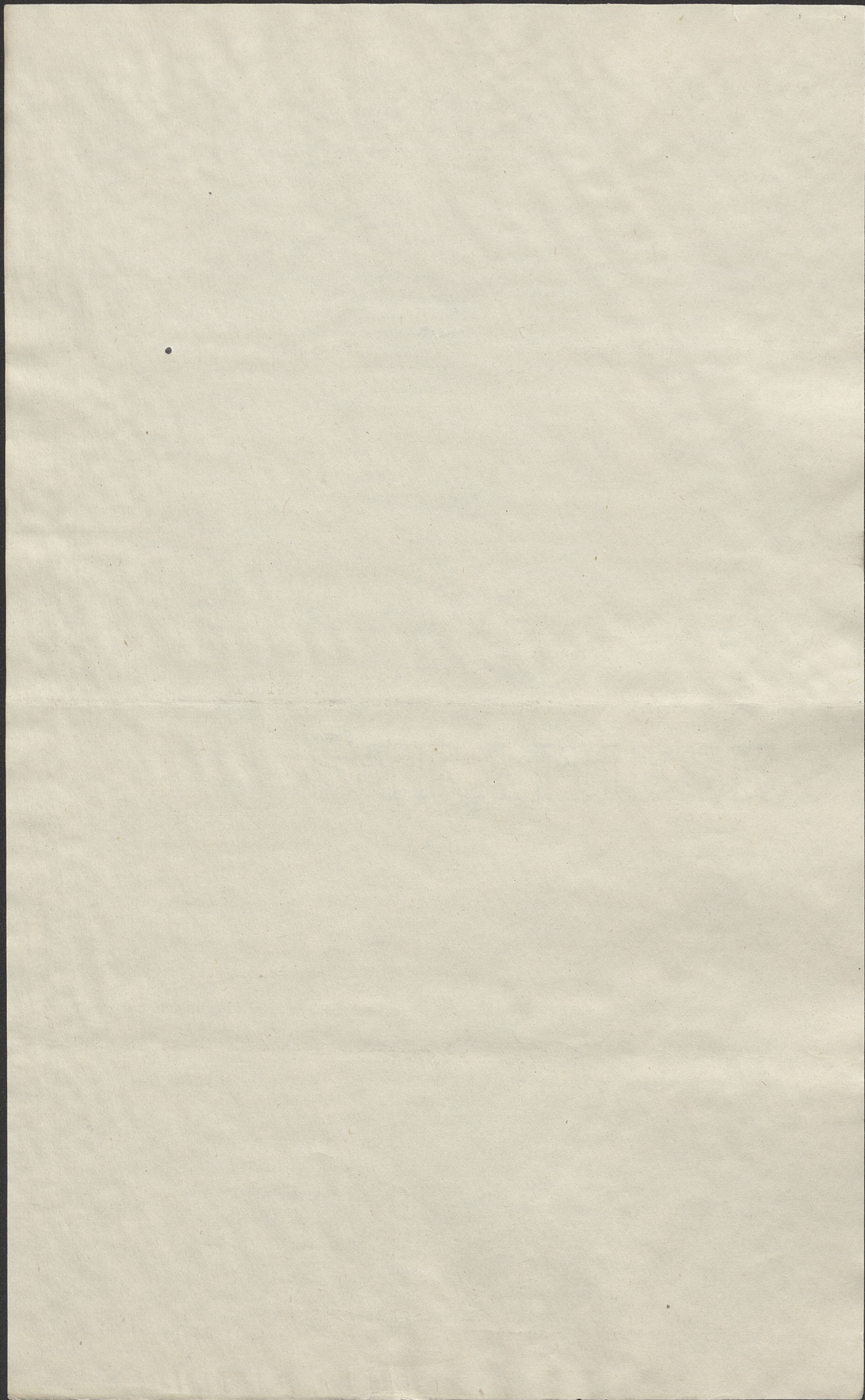
I przy tem "Nie" nowy premier napewno wytrwa. Z. Nowakowski

### BRZÓZKA

Z cyklu WIOSENNE WIERZYSZE  
/na Łowicką nutę/

Usiadła raz nad Bzurą płacząc lasów polskich, brzózka mała  
Rozpuściła warkocze, na wiatr wiosenny rozwiła  
Rozżaliła się cała, rozpłakała, rozchwiała:  
Że nie chce wiosennej urody,  
Że nie chce już patrzeć do wody,  
Że nie może już zrozumieć,  
Że tylko po polsku chce szumieć,  
Że nie ma już dłuższej siły  
By na nią oczy niemieckie patrzyły...







"Pomysł" puszczony wbrażał się drzew sękat stary.  
I brzoce przysłały odpowiedź: że to już dawniej widziały  
Jak wrogie zastępy niemieckie najlepsze drzewa scinały,  
Jak się wstydziły kwiaty urody i zapachu,  
Jak się tuliły drzewa w śmiertelnym ścięciu strachu,  
Ale - niech brzołka pamięta, że nie się bez Boga nie stanie  
I jedna jest tylko dla drzew i ludzi: przetrwanie.

Janina Wojciechowska.

#### Dokończenie art. następnego ze str. 1.

"Ległoci polskiej" - powiedział premier Arciszewski w wywiadzie udzielonym w Londynie przedstawicielowi New York Times. Polacy na całym świecie obiecują sobie, że po tej linii prowadzone będą rozmowy w nieznanym nam jeszcze dziś miejscu, gdzie przy stole obrad zasiądzie Winston Churchill, Franklin Delano Roosevelt i Józef Stalin. Z. Nagórski, jr.

#### NAJWIĘKSZY SKARB.

Gdy starożytnym Grekom zaciasno było w rodzinnym kraju, opuszczali Helladę, by osiedlić się gdzieś indziej. Jadąc na kruchych łożach w dalekie, obce strony, ci emigranci z przed zgorą dwóch tysięcy lat, zabierali z sobą wizerunki bogów ojczystych, żywność, broń, sieci i przeróżne narzędzia potrzebne do stworzenia nowego domu na obczyźnie. Lecz rzeczą najważniejszą był ogień, który brali z sobą w drogę, chcieli bowiem od tego ognia, przechowywanego w garnku, rozpałcić ognisko w nowym domu. Może dzięki tym tlejącym się w popiele iskrom udało im się stworzyć własne życie, osiągnąć dostatki, bogactwo, a przecież nie zapomnieć nigdy o ojczyźnie.

Stanąwszy mocno, na własnych nogach, w południowych Włoszech i na Sycylii, wzniesli wiele miast, jak np. Agrigentum, Taormina, Syrakuzy, Neapol itd., zapanowali zaś tak nad Sycylią i południowym cyplem półwyspu apenińskiego, że ta część późniejszego państwa rzymskiego zwała się "Wielką Grecją". Gdy zwiedzamy owe miasta, ogarnia nas podziw dla żywotności dawnych Greków, dla ich wytrwałej pracy, dzięki której stworzyli na obcej ziemi własny dom, będący świadectwem olbrzymiej kultury, zachowanej po dziś dzień w postaci zabytków czy ruin, świątyń, pałaców i teatrów. Umieci, na obczyźnie będąc, uprawiać grecką naukę, literaturę i filozofję, co więcej, oni, przybysze z obcych stron stali się nauczycielami Rzymian. Może sprawił to ogień, wzięty z ojczyzny? Może temu ogniewi winien był wielki uczyony, Archimedes, żyjący w Syrakuzach w trzecim wieku przed Chrystusem, swe odkrycia, więc np. wynalazek, dzięki któremu zapomocą soczewek i luster mógł na wielką odległość palić okręty nieprzyjacielskie?

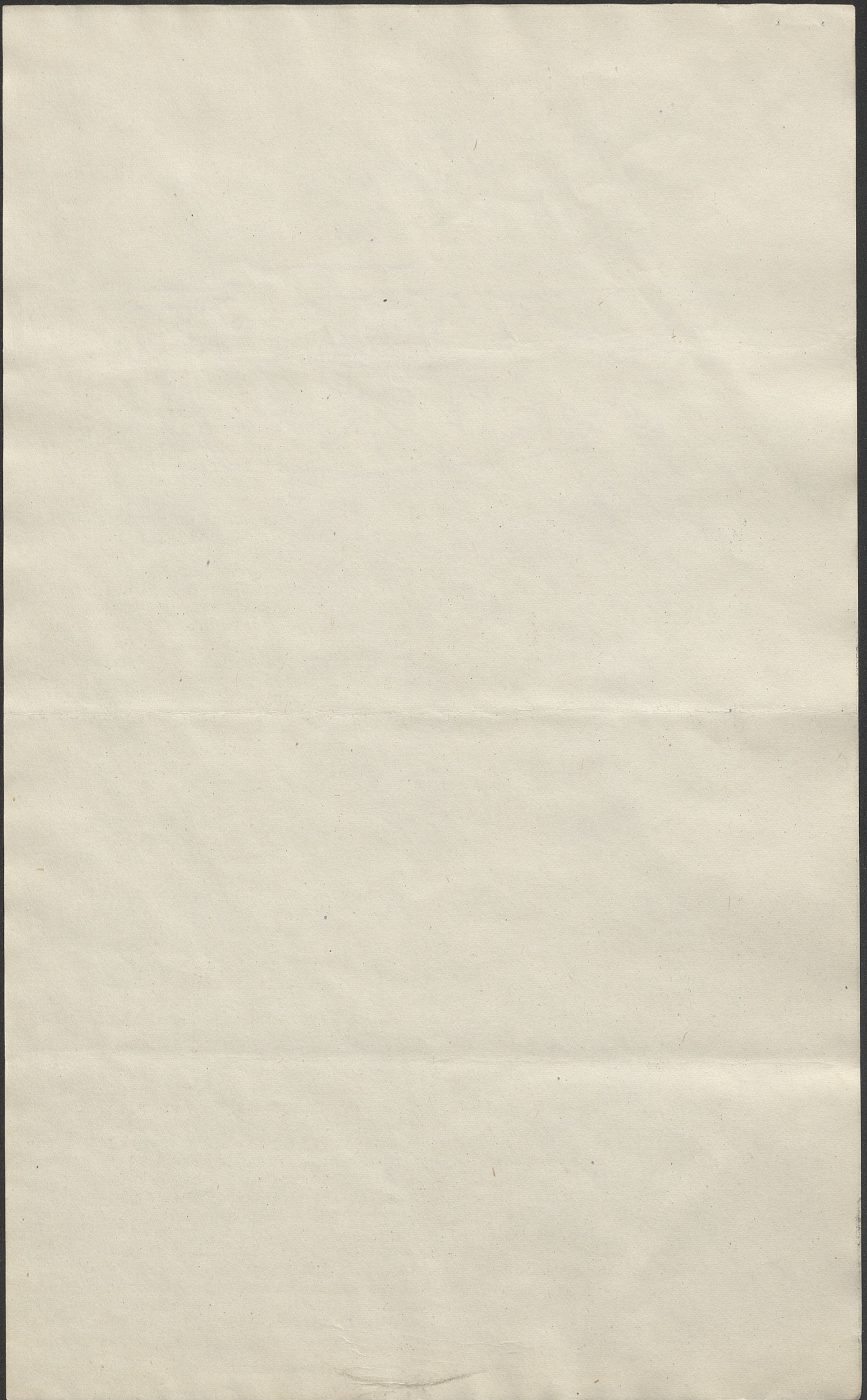
A my? Cóżśmy wzięli, wychodząc z ojczyzny w daleki świat? Co powinniśmy byli zabrać ze sobą i przechowywać tak właśnie, jak owi Grecy przechowywali ogień? Czyśmy przypadkiem nie zapomnieli wziąć czegoś, co jest rzeczą ważną, jedną z najważniejszych?

Niedawno, staraniem naszego II korpusu, wyszła we Włoszech książeczka niewielka, ale taka, że zapomnieć jej nie można, że się ją czyta raz i drugi i trzeci, będąc ciągle pod tym samym, a wstrząsającym wrażeniem. Są to Józefa Czapskiego "Wspomnienia starobielskie". Autor na sześćdziesięciu stronach skreślił prosty, skromny, niemal suchy opis pobytu polskich oficerów w "Łagrze" rosyjskim. Było ich 3.920, ponadto kilkudziesięciu więźniów cywilnych i około 30 podchorążych i chorążych. Z tych czterech tysięcy Polaków ocalało zaledwie siedemdziesięciu dziewięciu. Autor jest jednym z uratowanych. Resztę pochłonął Katyń. Oczywiście, Starobielsk to zaledwie jeden odcinek i jeden okres. Ilość oficerów i podoficerów polskich "zaginionych" w Rosji jest o wiele, wiele większa, przekraczając piętnaście tysięcy.

Życie tych skazańców to piekło brudu, głodu, chorób, mrozu, rozpacz. Był pośród nich niejaki porucznik Radoński, o którym pisze autor: "Radoński kochał język polski, zawsze nas karcił, gdy tłumacząc rosyjski komunikat, popełnialiśmy jakieś rusycyzmy... Kiedy wyjeżdżał, zebrał nas wszystkich i zaczął nas prosić serdecznie, zaklinać, byśmy dbali o nasz język, nie zaśmiecali go, nie lekceważyli. Z odrazą mówił o rusycyzmach, wdzierających się w naszą mowę..." Gubicie największy skarb, który posiadamy". Takie było jego z nami pożegnanie, takie ostatnie jego słowa przed odejściem na zawsze - zakłęcie, by szanować, kochać mowę polską".

Wydaje mi się, że ta mowa, mowa polską, jest właśnie jak ogień żywy, zabrany z ojczyzny. Ona się już ledwo tli, ona już przygasa, powinna zaś płonąć i świecić. My, uchodźcy wojenni, my, którzyśmy w Polsce jeszcze będąc, przyspiewali emigracji dawniejszej, przedwojennej, że tak szybko zatraciła związek z mową polską, - my, dzisiaj na własnym przykładzie, widzimy, jak łatwo zapomnieć, jak łatwo zatracić poczucie języka i popaść w błędy stałe, codzienne, coraz to częściej popełniane.







Jeśli portoznik Radziński, idąc na śmierć, zaklinał wielkimi słowami, by kochali język, jeśli "z odrazą mówił o rusycyzmie, wściekając się w naszą mowę", coż powiedzieć możemy na własną obronę, my, którzy żyjemy w warunkach już nie dobrych, ale wręcz doskonałych? Ileż wyrzeźbił obcych wdziara się w naszą mowę codzienną, zaśmiecając ją niepożądanymi nabytkami! A posłuchajmy, jak mówią dzieci polskie, które już mają cudziemi akcent, które nie potrafią wymówić poprawnie nawet słowa "Polska"! Przecież to słowo brzmi w ustach dzieci, przebywających np. w Anglii, zupełnie fałszywie, mianowicie "Poułska"!

Teraz widzimy, że dawna emigracja, naprzekór naszej krytyce, kochała mowę ojczystą, że się broniła przed wpływami obcymi wyjątkowo długo, podczas gdy nam wystarczyło pięć i pół lat, by, nie nauczywszy się języka naszych gospodarzy, przestać mówić i pisać dobrze po polsku.

Ogień naszej przepięknej mowy dogasa, tym bardziej więc pamiętajmy słowa skazańca ze Starobielska: "Gubicie największy skarb, jaki posiadacie".  
Zygmunt Nowakowski.

#### CZASY HEROIZMU SPOŁECZNEGO.

Literatura na temat "okresu przejściowego", t. j. okresu między zakończeniem działań wojennych, a ugruntowaniem trwałego porządku światowego, jest tak obfita i obejmuje zagadnienia tak rozległe, że trudno się dziwić różnicy zdań co do proponowanych rozwiązań.

Wyjątek w tym chaosie stanowi: zagadnienie repatriacji ludności, która w wyniku obecnej wojny przymusowo lub dobrowolnie opuściła miejsce swego zamieszkania.

Co do tego problemu jednomyślność jest absolutna. Nie ma pisarza i męża stanu, któryby nie widział jasno, że praca nad odbudową polityczną i ekonomiczną Europy musi się zacząć od powrotu milionów ludzi do swych siedzib.

Natychmiast zwraca się jednak uwagę na to, że może tu być mowa tylko o powrocie zorganizowanym, bo "repatriacja" nie jest chaotycznym ruchem mas ludności z jednego miejsca na drugie, ale splotem skomplikowanych zagadnień sanitarnych, transportowych, bezpieczeństwa i opieki społecznej, a rozwiązanie choćby jednego z nich wymaga powołania specjalnego aparatu międzynarodowego.

9. XI. 1945 powstała UNRRA, która poza tym, że ma się zajmować niesieniem pomocy krajom, które ucierpiały na skutek wojny, wzięła w swoje ręce również zagadnienie repatriacji na tych terenach, na które zostanie zaproszona przez właściwe rządy.

Jeśli jeszcze dodamy, że odpowiedzialność we wszystkich sprawach, związanych z ludnością przesiedloną ponosi SHAEF, a na obszarach uwolnionych - właściwe rządy, wtedy już mieć będziemy całą stronę administracyjną problemu repatriacji, powołaną na czas wojny. Ogniwem terenowym będą t. Oficerowie Łącznikowi dla spraw repatriacyjnych.

A jak będzie w "okresie przejściowym", gdy zagadnienie przetransportowania ludności wysiedlonej i opieka nad tą ludnością staną się zagadnieniami palącymi? W okresie tym zachowana zostanie wojenna struktura organizacyjna, z tą tylko różnicą, że na miejsce SHAEF'u wejdą władze okupujące Niemcy.

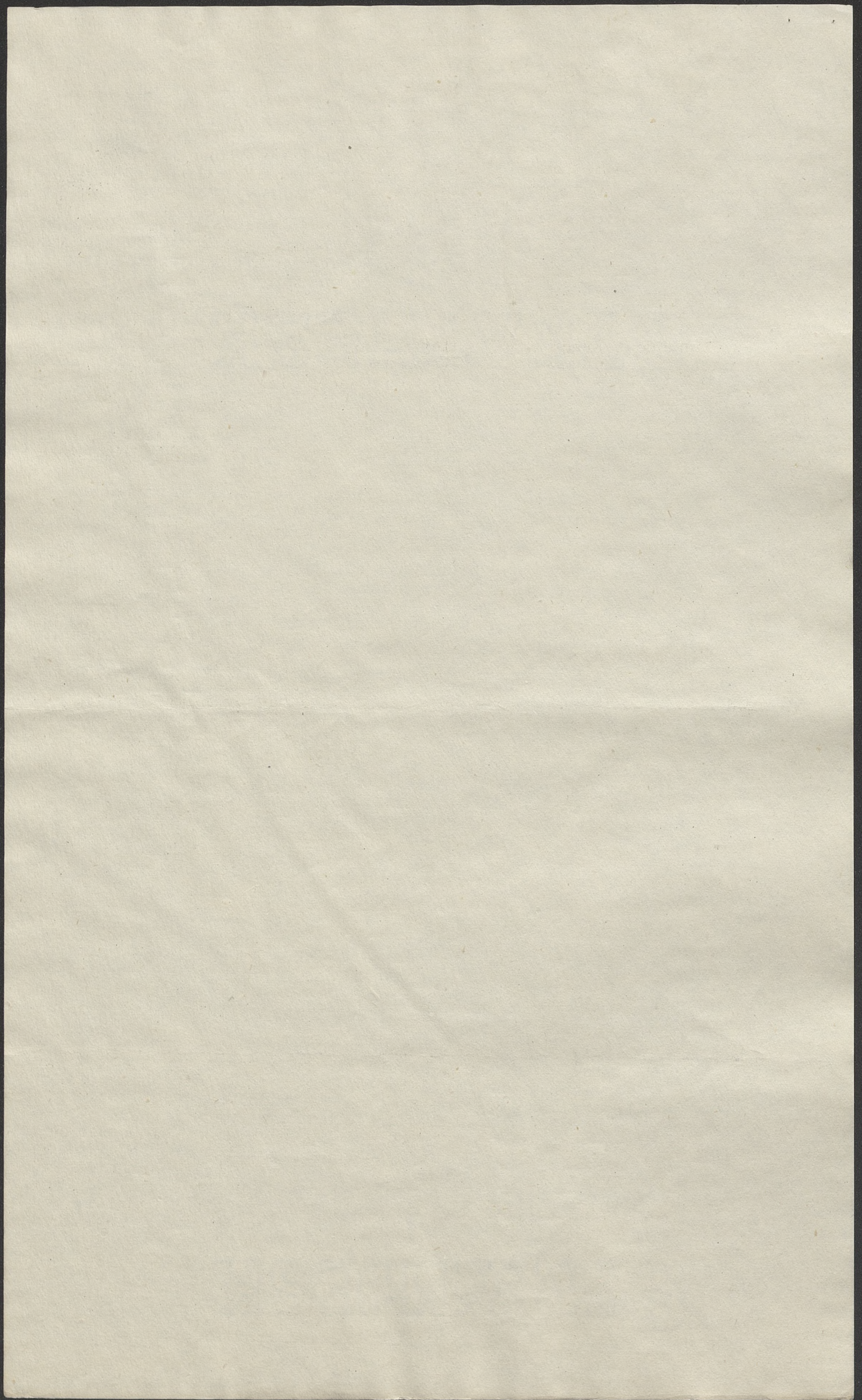
Moglibyśmy teraz szczegółowo rozpatrzyć strukturę organizacyjną przytoczonych instytucji, zakreślić ich kompetencje i wymienić wysoko postawione osobistości, które zajmują się przygotowaniem repatriacji - ale wszystko to nie przybliżyłoby nas wcale do sedna rzeczy. Główny akcent w całym tym problemie spoczywa nie na stronie administracyjnej, ale na stronie moralnej, politycznej i gospodarczej. Zwłaszcza w odniesieniu do repatriantów polskich.

W samych Niemczech jest ich ponad 3 miliony.

Wiemy, w jakich warunkach odbywała się rekrutacja na roboty w Niemczech. Gdy wyjazdy dobrowolne nie dały wyników, zaczęły się obławy i krwa terror. Główne Alice miast polskich zamykało Gestapo. Chwytano ludzi na ulicach, wyciągano z kościołów i mieszkań. Mieszkańców Zamościa zwabiono na nek za pomocą zapowiedzi przez megafony ciekawych wiadomości, poczem całą ludność zapędzono do obozów selekcyjnych. W parę godzin w stronę imperium przemysłowego Goeringa i Kruppa ruszył świeży liczny transport niewolników.

Warunki życia i pracy olbrzymiej tej rzeszy Polaków w Niemczech były już niejednokrotnie opisywane. Dość powiedzieć, że Polacy, Żydzi i Rosjanie nie są na samym końcu listy 115 grup narodowych, znanych niemieckiemu "p" wu" pracy. Oznacza to, że więcej, niż 10 % Narodu Polskiego ujętych został w rygor niewolniczego związania z miejscem pracy, że nie chroni ich żadna ustawa, ani rząd quislingowski, że chodzą w łachmanach, że panuje wśród nich tyfus, że opieka lekarska dla nich nie istnieje i że najmniejsza próba polepszenia warunków uważana jest za sabotaż, za który grozi obóz koncentracyjny albo kara śmierci.







"Ale jesteśmy żywi - wózką ci, którzy przetrwali. Potrzebny jest Polski umierać, ale chcemy też żyć dla Niej. Chcemy uczestniczyć przy tworzeniu Jej nowego jutra. Dlatego nie uchwalajcie dla nas uznania, nie nawożujcie do wytrwania, czynimy to bez waszej zachęty, ale mobilizujcie środki, by hitlerowską organizację przemocy jaknajszybciej zastąpić sprawnym aparatem pomocy. Nie trzeba nam polerowanych frazesów, ale dachu nad głową, chleba, ubrań, butów, szpitali, gazet i książek polskich".

Ida czasy heroizmu społecznego. Czasy, w których Polacy będą musieli wydać z siebie nie jednego Nansena /-genialny Komisarz Repatriacyjny Ligi Narodów po ostatniej Wojnie Światowej -/ - ale cały ich zespół. Trzy miliony rodaków naszych oczekuje od nas pomocy i odpowiedzialności za ich los usunąć się nie możemy. Nie możemy się przed nimi tłumaczyć, że nie mamy środków materialnych. Na poświęcenie i pracę kapitałów nie potrzeba, a jeśli uważamy, że UNRRA nie jest w stanie pokonać trudności, które się przed nią piętrzą, wtedy nie ma rady innej, jak domagać się zmiany obsady personalnej.

Ludność w Kraju i robotnicy polscy w Niemczech zapłacili straszliwą cenę za to, że Naród Polski nie wydał Quislinga, walczyliśmy i walczyć będziemy do końca przy boku naszych Aliantów, i jeśli w strategii wojennej nie możemy odegrać takiej roli, do jakiej nasza postawa moralna i poniesione ofiary nas uprawniają - tym większą uwagę zwrócić powinniśmy na strategię pomocy. Mamy prawo i obowiązek domagać się, by przynajmniej w tej dziedzinie zatriumfowały zasady moralności chrześcijańskiej, a nie elementy siły materialnej.

Musimy zadawać sobie sprawę z powagi sytuacji. Samo zagadnienie 3 milionowej rzeszy Polaków w Niemczech jest tego rodzaju, że może nagle wystąpić w olbrzymiej skali i opanować je będziemy mogli tylko przez pomoc, która musi być w pogotowiu. Przygotowania muszą być skompletowane i ukończone jaknajszybciej.

Paprocki.

#### INWALIDZI WOJENNI.

Po kilku miesiącach akcji we Włoszech i na froncie zachodnim szpitala polskie Wielkiej Brytanii zapełniły się rannymi. Niektórzy z nich wrócą z powrotem na front. Ale wielu wyjdzie ze szpitali jako ludzie niezdolni nie tylko do walki, lecz także do normalnej pracy. Trzeba będzie stworzyć dla nich nowe możliwości życia, przygotować nowe zawody i nowe zainteresowania. Trzeba będzie tym najbardziej przez wojnę poszkodowanym spłacić choć w części dług zaciągnięty wobec nich przez społeczeństwo nie tylko polskie, lecz przez wszystkie społeczeństwa Zjednoczonych Narodów.

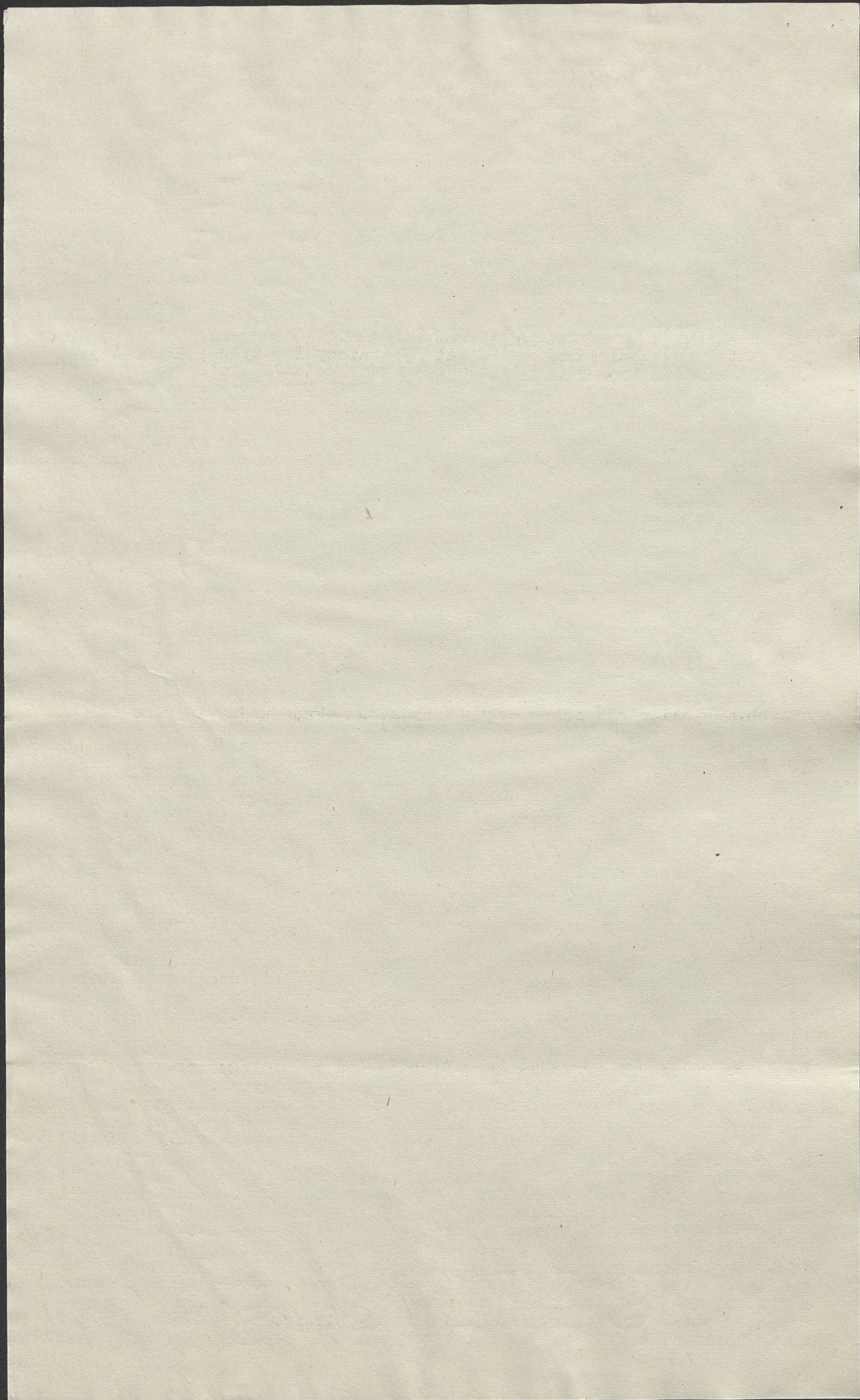
Polskich inwalidów wojennych jest bardzo dużo. Nie mają ani swych domów własnych, ani rodzin, któreby się nimi opiekowały. Gościnni Szkoci i Anglicy udzielają im czasem gościny u siebie. Ale to nie jest to samo. Im trzeba ciepła domu polskiego.

Najbliższe domy polskie znajdują się w Stanach Zjednoczonych, Kanadzie, Ameryce Południowej. Te polskie domy, nieświadome może ciężkich niebezpieczeństw, jakie spadły na tych młodych i do niedawna tryskających zdrowiem żołnierzy, mogłyby zrobić dużo. Przy odrobinie dobrej woli, której wszakże nie brakuje, i przy znanych sercach Polaków amerykańskich i kanadyjskich zadanie to nie jest trudnym do spełnienia. Tak łatwo jest nawiązać łączność pomiędzy inwalidami polskimi w Szkocji, a Polakami w zagranicy. Listy, zwykle, serdeczne listy, pisane jak do synów, mężów lub przyjaciół, dałyby tym ludziom świadomość pamięci, świadomość węzłów ze światem zewnętrznym, świadomość tego, że przecież nie są zapomniani, wyrzuceni poza nawias zainteresowań ludzi zdrowych i szczęśliwych.

Bo przecież chłopak, który utracił obie nogi, a przedtem jeszcze dom i rodzinę w Polsce, zasługuje na parę ciepłych i dobrych słów, przysłanych mu od ludzi zdaleka, lecz ludzi właściwie bardzo bliskich. Bo przecież chłopak dwudziestokilkuletni ślepy i bez obu rąk powinien mieć coś, co da mu wiarę w siebie i w ludzi, co da mu ochotę do życia, mimo straszliwego kalectwa... Bo przecież ten nieszczęśliwy poparzony, czy sparaliżowany chować będzie list od Polaków zdaleka, nieznanych mu, lecz czujących jego niedolę, jak pamiątkę, jak relikwię, jako dowód przynależności do wielkiej rodziny, która, choć rozrzucona po świecie, ma przecież krew wspólnych przodków.

Listy mogą być przysyłane do Światopola. Światopol z kolei rozprowadzi je wśród najbardziej potrzebujących. Oni odpowiedzą. I może z czasem listy takie zbudują pomost wspólnych zainteresowań pomiędzy rannymi, bardzo samotnymi w szpitalach szkockich, żołnierzami polskimi, a polskimi rodzinami na drugiej półkuli. Obu stronom da to bardzo wiele - jednym świadomość, że nie są zapomniani, a innym, że spełniając dobry uczynek zyskują sobie przyjaciół. Nie wiadomo jakie losy czekają jeszcze jednych i drugich







w tej wojnie i po jej zakończeniu. Być może, że ów żołnierz amerykański puka któregoś dnia do domu, z którego doń pisano, aby osobiście za serce i uczucie podziękować. Być może, że Polak amerykański w mundurze swojej drugiej ojczyzny zajedzie "jeepem" pod bramy szpitalne, by zobaczyć w Szkocji tego, z którym złączyła go przyjaźń listowna.

Hasło - Polonia poznaje swoich rannych, Polonia pisze do inwalidów Polonia o nich pamięta - niechaj będzie przez najbliższe miesiące hasłem każdego polskiego domu - gdziekolwiek jego miejsce na świecie.

Z. Nagórski, jr.

#### POWSZECHNOSC UDZIAŁU ROBOTNIKOW W POLSKIM ŻYCIU PODZIEMNYM.

Przed wojną życie zbiorowe robotników w Polsce, poza fabryką, ujęte było bezpośrednio lub pośrednio w ramy partji politycznych. Najściślej z życiem robotniczym związana była Polska Partja Socjalistyczna, ale i inne ugrupowania starały się w swych szeregach wiązać bezpośrednio robotników. Jednak najsilniejszy rozwój życia organizacyjnego miał miejsce w ramach związków zawodowych, po przez które dopiero poszczególne organizacje polityczne oddziaływały na świat robotniczy i o które, z drugiej strony, opierały się inne formy życia organizacyjnego robotników, jak organizacje kulturalne, społeczne, oświatowe itp.

Okupacja na ziemiach polskich, likwidując wszelkie przejawy polskiego życia zbiorowego, w pierwszym rzędzie przystąpiła do zlikwidowania związków zawodowych. Ponieważ jednocześnie związek zawodowy, ze względu na swoje cele i formy działania, jest typem organizacji nie mającym możliwości istnienia w ramach konspiracyjnych, przeto likwidacja związków zawodowych w ich sensie przedwojennym, była zupełna i nastąpiła w krótkim czasie. Dlatego też w pierwszych miesiącach okupacji rzesze robotnicze w Polsce utraciły całkowicie swoje główne formy organizacyjne. Nie mogły bowiem ugrupowania polityczne, nawet PPS, która temu terenowi całkowicie była poświęcona, zastąpić braku związków zawodowych, ani tym więcej nie mogły tego uczynić inne organizacje robotnicze.

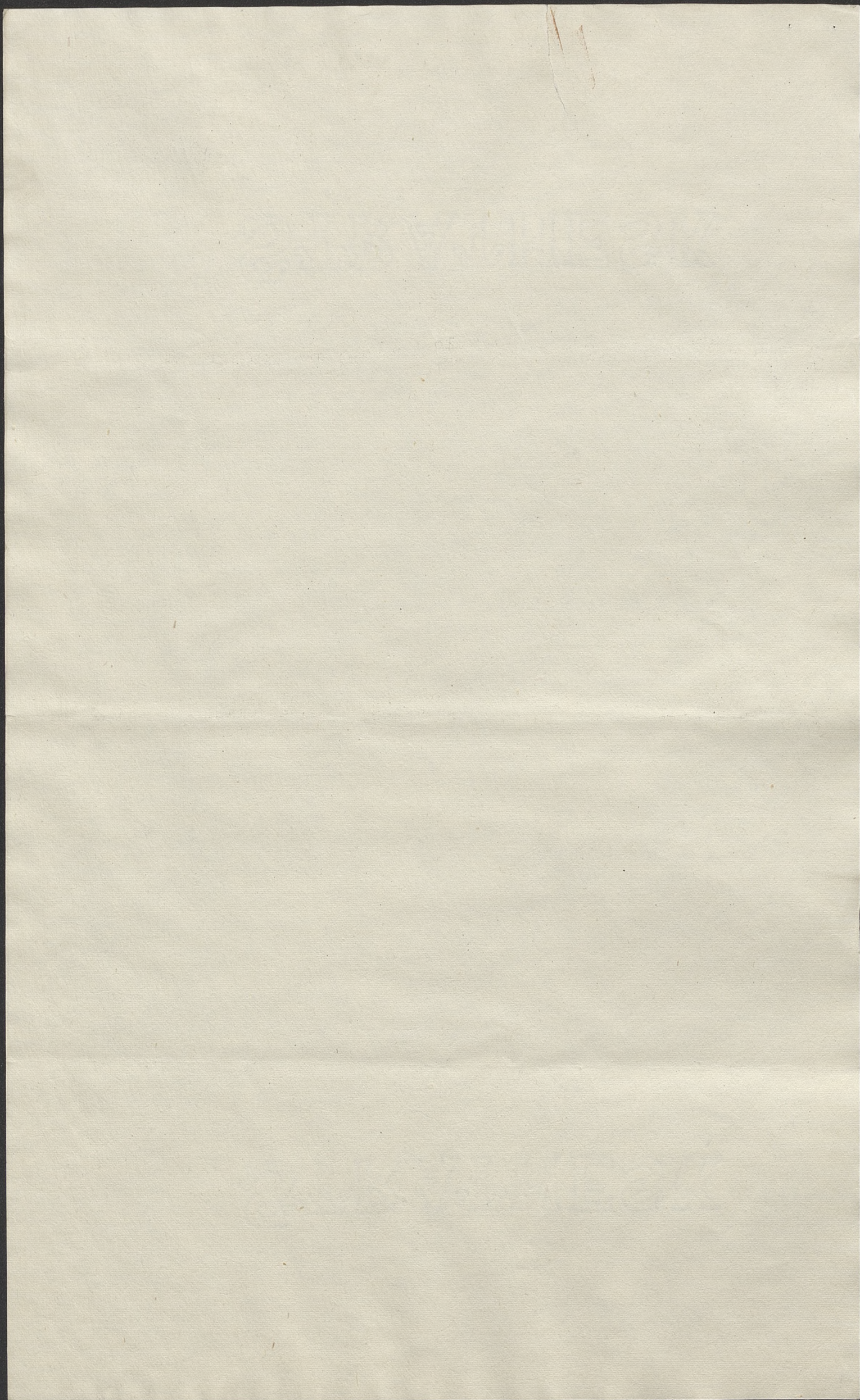
W konsekwencji takiego stanu, polski świat robotniczy znalazł się w odmiennej sytuacji, niż inne warstwy społeczne w Kraju. One wprawdzie także utraciły nieomal wszystkie swoje formy jawnego życia zbiorowego, ale wiele tych form nadawało się, po większych, czy mniejszych reorganizacjach, do działania w warunkach konspiracyjnych. Jedynie robotnicy, poza sztabami kierowniczymi i administracyjnymi przedwojennych partji politycznych, musieli swoje formy organizacyjne na okres wojny tworzyć od podstaw.

Rzecz jasna, że na kształtowanie się organizacji robotniczych główny wpływ wywarły dwa czynniki: walka o niepodległość i ustosunkowanie się do okupanta, czy też zabezpieczenie się indywidualne i zbiorowe przed jego terrorem. Jeśli chodzi o pierwszy czynnik, to szczególnie w początkowym okresie przesądzał on o tym, iż robotnicy szukali przede wszystkim takiej organizacji już istniejącej, względnie przystępowali do stworzenia nowej, której jedynym zadaniem byłaby walka zbrojna. Dzięki temu zagadnienia społeczne, polityczne, czy ustrojowe w rzeczywistości odchodziły na plan dalszy, a na pierwsze miejsce wysuwały się problemy czysto wojskowe.

Jeśli chodzi o stosunek do okupanta, zarówno światopoglądowy, jak i narodowy, to był on i przed wojną i w czasie wojny zdecydowanie taki sam, jak całego społeczeństwa. Zagadnienie zaś zabezpieczenia się przed konsekwencjami terroru okupacyjnego przesądzili sami okupanci. Postępowanie bowiem swoje w stosunku do robotników układali nie według ich takich czy innych poglądów politycznych, czy nawet stopnia "lojalności", ale po prostu traktowali ich, jako Polaków, to znaczy trępili tak samo bezwzględnie, tymi samymi metodami i na takich samych podstawach, jak wszystkie inne klasy polskiego społeczeństwa. Dlatego też i działania indywidualne oraz zbiorowe w formach organizacyjnych świata robotniczego siłą rzeczy musiały być takie same, jak innych warstw społecznych i z nimi bezpośrednio związane.

Jednocześnie warunki życia gospodarczego, zapotrzebowanie rąk roboczych we wszystkich dziedzinach, przejście do pracy robotniczej ludzi, którzy przed wojną byli pracownikami umysłowymi, wejście do miasta dużych ilości elementów wiejskich oraz masowe usamodzielnianie się pełne, czy częściowe robotników przez zakładanie własnych legalnych lub nielegalnych warsztatów pracy z jednoczesną pracą w fabryce lub z porzuceniem tej pracy, wszystko to powodowało, że robotnicy polscy wstępowali do organizacji nie tylko robotniczych, względnie tworzyli organizacje, w których skład wchodziłi również ludzie z innych warstw społecznych. I dlatego w obecnej pracy niepodległościowej, odwrotnie, niż w okresie przedpoprzednią wojną, nie powstały teraz żadne wielkie organizacje czysto robotnicze. Natomiast dzięki wyprobowanemu patriotyzmowi oraz wielkiej energii indywi-







44  
dualnej i zbiorowej, tkwiącej w polskich masach robotniczych, wszystkie polskie organizacje ruchu podziemnego są oparte o siły robotnicze, które ko o jeden z głównych elementów swego działania. Zjawisko to, choć nie daje możliwości wykazania, że taka, a nie inna część dorobku Polski Podziemnej została wykonana rękami tylko robotniczymi, daje w rezultacie wielkie zbliżenie się i jeszcze silniejsze związanie solidarnościami w walce rzesz robotniczych z pozostałymi członkami społeczeństwa polskiego, dając jednocześnie robotnikom poczucie, że są oni elementem twórczym we wszystkich, a nie tylko w określonych dziedzinach naszego życia zbiorowego.

T.S.

#### SKOK W CIEMNOSC.

Dwudziestoosmiolatek Jan Rosiński jest nawigatorem Mosquito w polskim dywizjonie lekkiego bombardowania. Życie jego jest tak ciekawe, jak ciekawym może być życie lotnika w czasie wojny.

Porucznik Rosiński pochodzi z miasta Łodzi i to właśnie miasto - ruchliwe, przemysłowe - ukształtowało jego upodobania. Po skończeniu we Lwowie Akademii Handlu Zagranicznego 22-letni Jan wyemigrował przed wojną do Meksyku, gdzie wraz z dwoma Polakami założył firmę eksportowo-importową. Wysyłali do Polski kawę i rudę żelazną, sprowadzali konserwy mięsne, dyktę, naczynia kuchenne, materiały ubraniowe. Firma rozwijała się pomyślnie, obroty się zwiększały.

Gdy Niemcy uderzyli na Polskę młody handlowiec zgłosił się odrazu w poselstwie polskim do wojska. Uczynił to nie tylko z poczucia obowiązku patriotycznego. Z Niemcami miał jeszcze dawne porachunki: matka jego i siostra zostały zabite bombami niemieckimi w czasie zeszłej wojny.

Po przeszkoleniu w Kanadzie, Jan przybył do W. Brytanii jako podporucznik nawigator i rozpoczął latanie w dywizjonie bombowym. Był to akurat okres ciągłego bombardowania zagłębia Ruhry. Jan latał 4 razy nad Hamburg, 3 razy nad Kolonię, 3 razy nad Essen, a wiadomo, że są to loty długie i ciężkie ze względu na bardzo silną obronę Ruhry. Po wykonaniu 13-tu lotów por. Rosiński został przydzielony do nocnego dywizjonu Mosquitów. Z pilotem, chorążym Tadeuszem Ciuką, zgrali się odrazu. Właśnie po raz czwarty lecieli na nocne bombardowanie terytorium nieprzyjacielskiego, gdy nagle -

" Nagle, - opowiada porucznik Rosiński - wśród silnego ognia artylerii, mocny wybuch rzucił maszynę do góry. Wiedzieliśmy, że jesteśmy trafieni. Gwiazdy znalazły się nagle pod nami. Mimo to pilot wyprowadził maszynę, doleciał nad wskazany w rozkazie cel, wyrzucił bomby. Maszyna znów zaczęła wariować. Busola była zmiądzona, więc nie miałem pojęcia gdzie jesteśmy i dokąd lecimy. Starąłem się przez radio dowiedzieć gdzie jesteśmy, pytałem co to za miasto, które widzimy silnie bombardowane, ale Niemcy zagłuszyli naszą falę i nie miałem żadnej odpowiedzi. Benzyna uciekała z rozbitych zbiorników, przyrządy nie działały. Nadałem więc sygnał S.O.S.

- Czy jesteś przygotowany na skok? - spytałem pilota. - Wiedziałem że myśl o skoku zawsze była mi niemiła, miałem ambicję ratowania maszyny.

- No, dobrze - odparł po krótkim namyśle.

A więc mieliśmy skakać w niewiadome. Co było pod nami: Niemcy? Holandia? Francja? Włączyłem instalację, która wywołuje eksplozję maszyny po upadku na ziemię, aby jej nieprzyjaciel nie dostał w ręce, następnie chciałem otworzyć drzwi. Nic z tego! Zacięły się na amen. Waliłem siekierą w zawiasy - nic. Wypchnąłem je wreszcie rękoma w ostatnim wysiłku. Zawierucha, jaka powstała w kabine, przyklepiła mi jakąś kartkę do nosa.

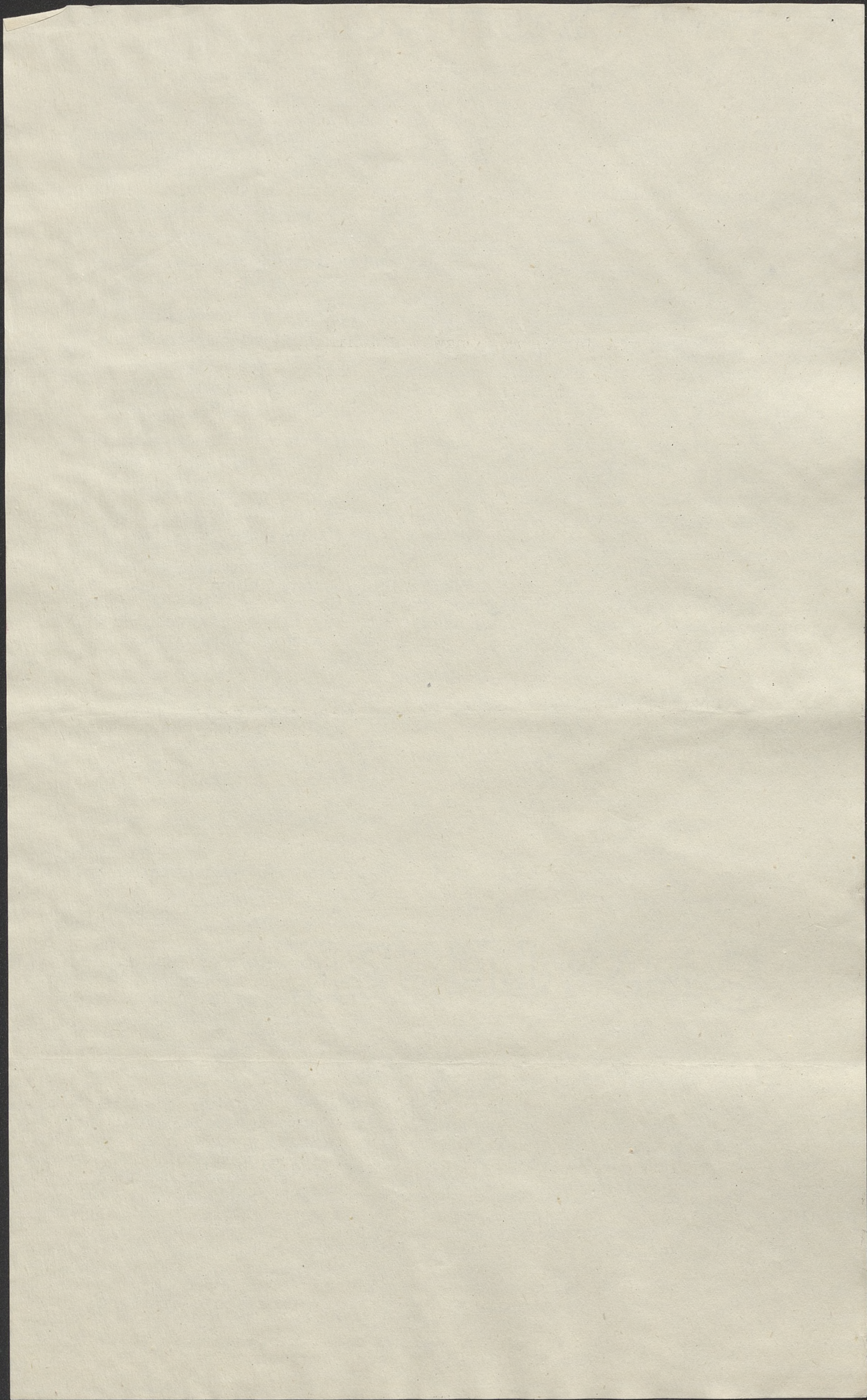
- Tadek, cześć - powiedziałem do pilota i pokazałem mu na migi, by zmniejszyć szybkość maszyny. Nachyliłem się do skoku. Pilot dał mi kopniaka, co znakomicie przyspieszyło niemiłe wypadnięcie. "Dziękuję" - krzyknąłem, choć nie mógł już tego słyszeć.

Spadałem w niewiadomą ciemność jak w otchłań piekieł. Pociągnąłem za klanrę. Spadochron już się otwierał, ale ja byłem tak podniecony, że wciąż myślałem, iż się nie rozwija. Szarpałem pasy, a jednocześnie zacząłem odmawiać Ojciec Nasz. Nigdy się nie modliłem tak gorąco. I - tak głośno! Usłyszałem w ciszy nocnej, że krzyczę niemal "Bądź wola Twoja jako w niebie, tak i na ziemi". Modlitwa uspokoiła mnie. Skończyłem pacierz. Leciałem wciąż nie widząc absolutnie nic. Nagle upadłem na ziemię. Zdarłem skórę z policzka, zgubiłem gdzieś lewy but, ale byłem cały. "Żyję" powiedziałem do siebie.

Szedłem potem ku południowi, mając gwiazdę polarną za sobą. Kluczyki omijając osiedla ludzkie, szczerkające psy, klekocące młyny. O świcie na rozstaju dróg zobaczyłem krzyż. Ucałowałem go z wdzięcznością. Pobliski drogowca powiedział mi, że jestem we Francji.

Jak dalej szedł Jan, co się stało z nim i z pilotem nie wolno jeszcze dzisiaj pisać. Ale to wolno, że po paru tygodniach zjawili się obaj







na swym macierzystym lotnisku. Koledzy, którzy przypuszczali, że zalogowała się w morzu, rzucili się do Jana.

- Chwała Bogu, że żona Twoja przestała być wdową ! Wiesz, szczęściarzu, że masz syna ?

Dziś porucznik Jan Rosiński i chorąży Tadeusz Ciuka należą do klubu lotniczego "Złotej gąsienicy". Odznakę w kształcie małej, złotej gąsienicy ma prawo nosić ten, komu jedwab spadochronu uratował życie.

Aleksandra Dobrowolska.

PIÓRO.

Zardzewiało cholerne pióro  
W więziennej ciemni i wilgoci.  
Jak łopatą, macham nim, burą,  
I rąbię grudę oporną ; moi złoci.  
Ktoś mi mówi, że on tommy-gun  
W swym wiecznym piórze odnalazł.  
A ja nie mogę nawet browninga; i migam  
Nim, jak toporem i młotem naraz.  
Żebym mógł teraz strzelać tak prędko,  
Jak z tanku wałą działa -  
Tobym mógł widzieć, jak choćby klęknął  
Mój wróg - skoszony w pół ciała.  
Wy nie nie wiecie, jak dobrze  
Ręce trzymać na spuście maszynki -  
Wyczekać, i serię głęboko i szczodrze  
Wpuścić w samo serce, jak psy do kotlinki.  
Dlatego w ziemię czarną od dymów  
Wbijam pióro z rozkoszą i czyszcę je z rdzy.  
Ryczę, jak zawsze, z tych jedwabnych rymów  
Tchórzy - pełnych pochlebstwa, bzdurstwa i mgły.  
U mnie się wiersze, jak wrzask pobudki  
Wznosiły zawsze nad zdrewniałym światem.  
Pomysł był szybki, stanowczy i krótki -  
Uderzyć i wygrać - nic więcej pozatem.  
I czuję, że jeszcze zaświecę  
Ostrzem pióra i ciemność rozgarnę.  
Przebiję najgrubsze mury, polecę  
Szybko i pióro w gardło tchórzom wbiję jak bagnet.

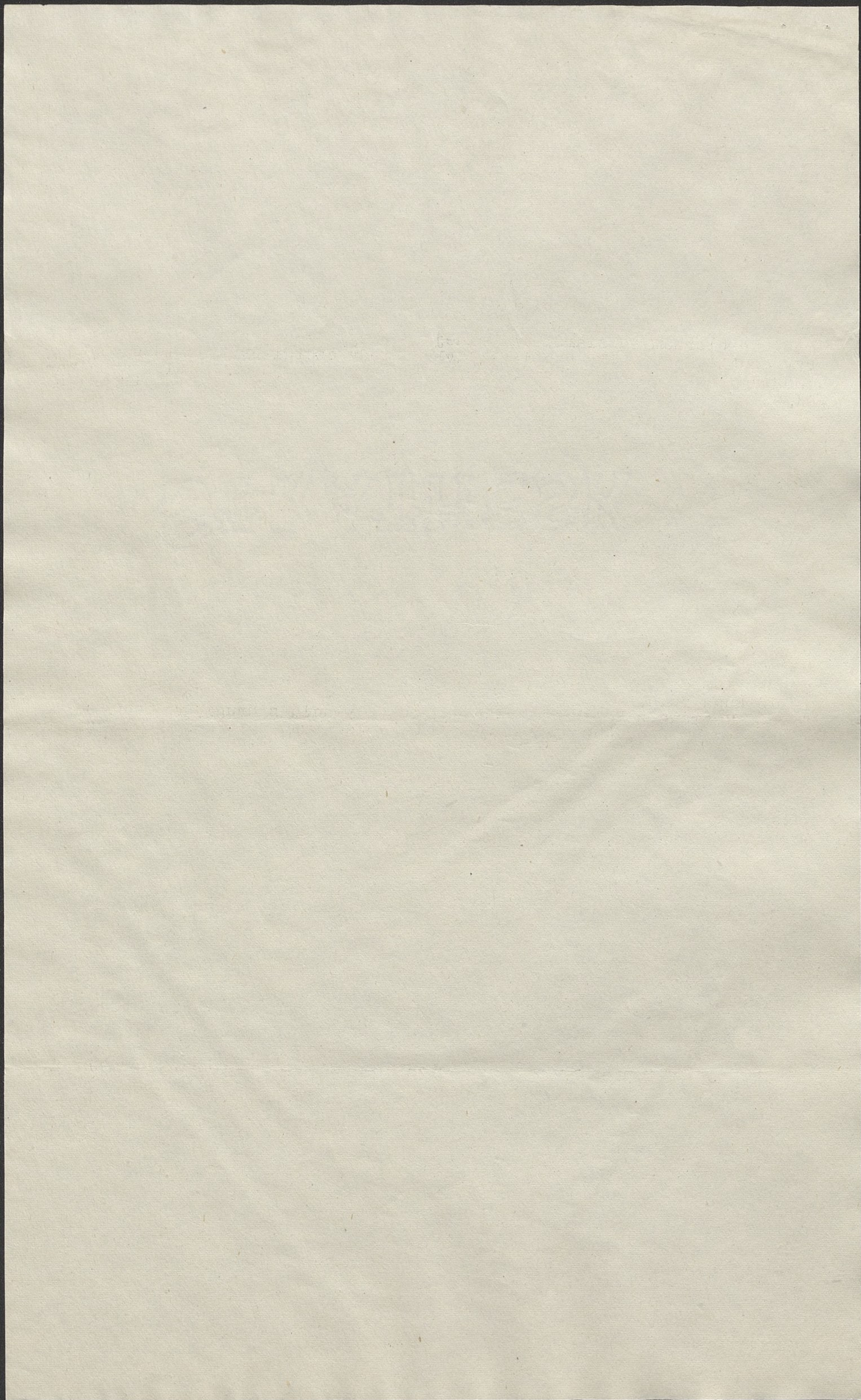
Marian Czuchnowski.

MOJ PIERWSZY NIEMIEC.

Zwykłemu czkowiekowi, nieobeznanemu z nowoczesną sztuką wojenną, niezmiernie trudno jest odtworzyć sobie obraz bitwy, słuchając opowiadań naszych żołnierzy. Każdy z chłopców, z których wielu rannych przebywa w szpitalach polskich i angielskich, jest b.uczony. Dużo i chętnie mówią o działaniach wojennych, w których brali udział. Opowiadania te jeżą się od wojskowych terminów technicznych. Artyleria zawsze "kładzie ogień na punkt oporu npla" zamiast poprostu strzela, "ogień zaporowy i nekający przeszkadza w wykonaniu zadania" itd. Słuchając takich opowiadań, zwykły śmiertelnik ocenia własną małość i ograniczenie wobec szeroko rozwiniętej wiedzy wojskowej, którą nasi żołnierze posiadli w zupełności. Dlatego słuchając opowiadań naszych dzielnych spadochroniarzy z pod Arnhem, wyznaję ze wstydem, że nie odtworzyłem sobie właściwego obrazu akcji, jaka się tam rozgrywała, natomiast utkwiły mi w pamięci fragmenty wrażeń pewnego młodego podchorążego, który zadał sobie trud przedstawienia mi operacji naszej Brygady Spadochronowej, posługując się mapą, splamioną własną krwią.

"Najgorsze było - mówił młody żołnierz - że pogoda psuła nasze plany. Trzy razy żądowaliśmy się do naszej Dacoty i trzy razy zawracano nas. Tak minęło kilka dni oczekiwania w napięciu. Wiedzieliśmy bowiem, że na coś poważnego się zanosi. Wreszcie wylecieliśmy, chociaż pogoda była wciąż mglista. Dowiedzieliśmy się, że bierzemy udział w lądowaniu w okolicy Arnhem w Holandii i że nasza Brygada Spadochronowa miała walczyć jako część składowa Brytyjskiej Armii Spadochronowej. Ponieważ czołgi brytyjskie, według doniesień telegraficznych, docierać już miały podobno do naszego lądowiska, sądziliśmy, że lądowanie odbędzie się względnie spokojnie. Jednak już w pobliżu miejsca lądowania powitał nas gęsty ogień artylerii przeciwlotniczej. Najbliższa Dacota, trafiona pociskiem, poszła na dół w skrętach czarnego dymu. Przygotowaliśmy się do lądowania. Niebezpieczeństwo nie budziło we mnie strachu, natomiast jakieś dziwne uczucie powodowała myśl, że za kilka minut będę zabijał ludzi w walce wręcz. Jakże będzie wyglądał ten mój pierwszy Niemiec ? W pamięci przesuwają mi się znane z filmów zacięte twarze hitlerowskich żołnierzy. Zaczęliśmy skakać. Przedemną wyskoczył właśnie mój druh serdeczny, Kazik, z którym w Szkocji spędziliśmy kilka lat ćwiczeń w naszej brygadzie. Wyskoczyłem za nim. Silny wiatr







~~Wielki~~ z ~~leżwi~~ ~~lądowaliśmy~~ przy jakiejś drodze. Pierwszy lądował Kazik, niestety spadochron jego zaplątał się w druty telefoniczne. Kazik zaczął się szamotać, w zamiarze zrzucenia z siebie szelek spadochronu. W chwili kiedy od ziemi dzieliło go zaledwie  $\frac{1}{2}$  metra, z pobliskiej osłony wyskoczyła szara postać w feld-grau mundurze. W momencie kiedy ja lądowałem - prawidłowo zresztą i szczęśliwie - Niemiec poprostu poderżnął Kazikowi gardło. Czerwona mgła zasłoniła mi oczy. W jednej sekundzie uwolniłem się od spadochronu i wygarnąłem w Niemca z pistoletu automatycznego. Niemiec osunął się na ziemię, niestety jednak śmierć jego nie mogła już wrócić życia Kazikowi. Coraz więcej kolegów lądowało, walka stawała się gorętsza, akcja bardziej zbiorowa. W nocy pomaszerowaliśmy do pobliskiego małego miasteczka. Niedaleko stąd czekała nas ciężka przeprawa przez rzekę, pozostającą pod stałym ogniem artylerii niemieckiej. Po drugiej stronie rzeki, w pobliżu Arnhem bili się Brytyjczycy i tam przeprawili się miała nasza brygada. Szliśmy im z pomocą, jak naszym własnym żołnierzom. Świadomość, że bierzemy udział we wspólnej operacji oraz przeżycia ostatnich dni czy godzin, zespoliły nas i zbliżyły. Kiedy czołgi brytyjskie spotykały oddziały naszych spadochroniarzy, bywały wypadki, że ci zimni i opanowani żołnierze brytyjscy wyskakowali z czołgów, ściskali i całowali Polaków. Przeprawa przez rzekę była niełatwa. Przy tamtym jej brzegu trafiono naszą kłodę. Odłamek pocisku unieruchomił mi ramię.

Opowiadanie przerywa ranny z drugiego kózka. "Ale powrót przez tę samą rzekę był jeszcze trudniejszy. Przez 30 godzin przebywałem w wodzie, starając się przeprawić na drugą stronę. Było strasznie zimno i rozgrzewała nas tylko myśl o stratach, jakieśmy Niemcom zadali." Młody, mizerny żołnierz leży od kilku tygodni bez sił, chociaż nie został ranny, natomiast długi pobyt w wodzie spowodował ciężkie ogólne przeziębienie.

"Umieszczono mnie wraz z innymi rannymi w szpitalu pod Arnhem - ciągnie dalej opowiadanie podchorąży." Szpital ten był pod stałym ogniem artylerii niemieckiej; w oknach jego nie było już ani jednej szyby. Każda detonacja, wstrząsająca murami szpitala, dzwoniła w rozgorączkowanej głowie, każdy wybuch czułem w zranionym ramieniu. Na sali leżeli ludzie ciężko ranni, umierający. Przewieziono nas do innego szpitala w okolicy Nijmegen. Do tego szpitala już nie dojechaliśmy. Na godzinę przed naszym przybyciem otrzymał on "direct hit" i z budynku pełnego rannych została tylko kupa ruin."

Rozmowę z Polakami przerywają nawoływania z drugiego końca sali. To brytyjscy spadochroniarze chcą z nami porozmawiać. Dowiadujemy się od Polaków, że ci Brytyjczycy, których rodziny hojnie zaopatrują paczkami, dzielą się nimi nie między sobą, ale właśnie z Polakami.

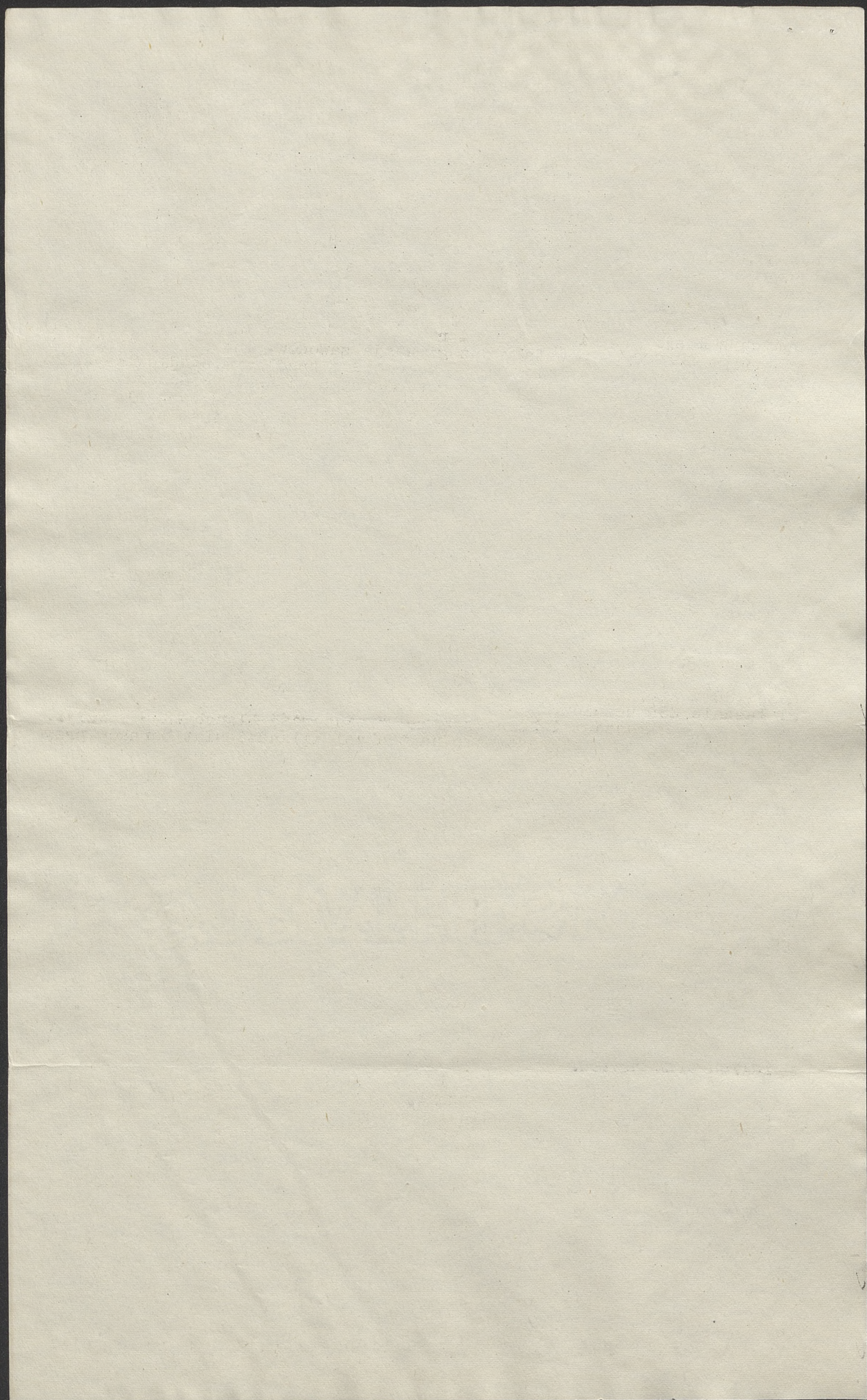
Wszyscy polscy ranni podkreślają serdeczną opiekę lekarzy i sióstr szpitalnych. W jednym szpitalu podszła do mnie siostra przełożona. Wskazała mi rannego żołnierza polskiego, który zupełnie nie znał angielskiego. "Niech mu Pan powie, - prosi - że my wszyscy jesteśmy tutaj po to, żeby mu pomóc, że chociaż nie rozumiemy co mówi, otrzymuje najbardziej troskliwą opiekę". W większości wypadków żołnierz, ranny w Belgii czy Holandii, dostaje się do polowego punktu opatrunkowego pod Antwerpią, t. zw. Polish Field Dressing Centre, gdzie może przebywać kilka dni. Jeżeli rany się zagoją, odsyła się go do jednostki; jeżeli nie - przesyła się go do szpitala w Antwerpii, a stamtąd zaś, w razie potrzeby, do W. Brytanii samolotem sanitarnym lub statkiem szpitalnym. Polacy, ranni w Belgii, podkreślają serdeczną opiekę konsula polskiego i kolonii polskiej w Antwerpii, jak również całego społeczeństwa belgijskiego. W szpitalach belgijskich odwiedzają ich belgijscy przyjaciele i miejscowi Polacy. Ranni lubią odwiedziny, przerywają one monotonię kuracji. W szpitalach angielskich ranni Polacy z radością przyjmują paczki z P.C.K., papierosy, książki, polskie gazety. Wielu z nich prosi o ułatwienie odzyskania swoich rzeczy, ubrań, portfeli, pamiątek, które gdzieś przepadły. Wielu z nich nie ma nic poza pyjną szpitalną i nie może wyjść poza obręb szpitala. Wszyscy spragnieni są wiadomości z Kraju oraz informacji z terenu politycznego w Londynie. Kilku spadochroniarzy i pancerniaków, pochodzących z wschodnich połaci Polski, pytało mnie z głęboką troską w oczach: "Niech mi Pani powie, czy po tylu ofiarach i stratach wrócimy do Lwowa i Wilna?"

Z. L.

#### POLSKA OPIEKA SPOŁECZNA.

Młodzież uchodźcza ze Wschodu wyjeżdża do szkół zawodowych  
Jednym z poważnych i najważniejszych zadań, jakie stoją przed polskimi czynnikami opieki, jest wykształcenie zawodowe młodzieży uchodźczej. Tego rodzaju wykształcenie musi dać młodzieży fach w rękę, przygotowując ją do samodzielnego życia i pracy zarobkowej, równocześnie zaś przysporzyć winno Polsce wykwalifikowanych pracowników, tak bardzo potrzebnych przy odbudowie powojennego życia gospodarczego w kraju.







Z tą myślą Ministerstwa Pracy i Opieki Społecznej oraz Ministerstwa Religijnych i Oświecenia Publicznego, w porozumieniu z Min. Przemysłu, Handlu i Żeglugi, przystąpiły do planowej akcji szkolenia zawodowego młodzieży, dążąc do wykorzystania wszelkich nasuwających się w tym względzie możliwości. Zgodnie z tym planem, zorganizuje się w osiedlach uchodźczych, gdzie tylko to będzie możliwe, różnego typu szkoły zawodowe; po dokonaniu koniecznej selekcji, wysyłać jednocześnie młodzież do wysoko postawionych szkół zawodowych brytyjskich.

Jak praktyka wykazała, możliwości tworzenia własnych szkół zawodowych w osiedlach są stosunkowo nieduże. Główny wysiłek został więc skierowany tam na organizację szkół dla dziewcząt, które stanowią przeważającą część młodzieży w wieku gimnazjalnym w Persji, Indiach, Afryce Wschodniej i Meksyku.

W Afryce Wschodniej - największym skupieniu uchodźców, wyewakuowanych z Rosji / w sierpniu 1944 r. było tam blisko 18.000 osób, przewidziane było 20.000 / - powstały już gimnazja zawodowe lub szkoły przysposobienia zawodowego dla dziewcząt w zakresie: handlowym, handlowo-społdzielczym, krawiecko-bieliźnianym oraz gospodarstwa wiejskiego. Znacznie mniejsze natomiast są tam możliwości prowadzenia szkół zawodowych dla chłopców, zarówno ze względu na brak warsztatów szkolnych i instruktorów, jak i dostatecznej ilości kandydatów w poszczególnych osiedlach. Dotychczas otwarte zostało tylko gimnazjum mechaniczne w Oudtshoorn /1-a klasa/ i szkoła rzemieślniczo-przemysłowa w Tengeru.

Jeśli więc idzie o młodzież męską z osiedli, zarówno Ministerstwa, jak i Delegatury zamierzają kierować chłopców do szkół zawodowych brytyjskich, względnie polskich, istniejących na innych terenach. Poza nieliczną ilością chłopców, umieszczonych w szkołach brytyjskich w Indiach, przewidziane są obecnie trzy główne ośrodki ich szkolenia zawodowego:

1/ Gimnazjum marynarki handlowej w Anglii, organizowane przez 3 zainteresowane Ministerstwa. Będzie ono miało program 4-letniego gimnazjum ogólno-kształcącego typu matematyczno-przyrodniczego połączony z wiadomościami zawodowymi przysposobienia morskiego w teorii i praktyce. Kandydaci w wieku lat 14-17 są już częściowo w drodze lub czekają na wyjazd, rekrutują się oni z: 31 chłopców z Persji, 44 z Poł. Afryki i Reunio, 68 z Afr. Wschodniej, 38 z Indii i 201 junaków z Palestyny, co stanowi łącznie 382 uczniów.

Na gimnazjum i bursę wybrano miejscowość Llanabryther w Walji, gdzie Ministry of Work odstąpiło na ten cel kilkadziesiąt baraków, przygotowanych uprzednio dla 1000 żołnierzy. Są tam dobrze urządzone baraki sypialne, wielka sala koncertowa, nadająca się też na salę gimnastyczną i kinową, szereg gustownie urządzonych sal, duża jadalnia, kuchnia. Szkoła wyposażona jest we wszelkie konieczne urządzenia, jak woda bieżąca, elektryczność, natryski z gorącą wodą itp. Po przeprowadzeniu drobnego remontu i wyekwipowaniu budynków przez Ministry of Work, szkoła odpowiadać będzie wszelkim nowoczesnym wymaganiom, a piękna okolica wśród walijskich wzgórz, duży park, obszerne łąki przed domem, schodzące do rzeki i nadające się na boiska, stworzą doskonałe warunki dla zdrowego życia młodzieży. Bliskość portu pozwoli uczniom przechodzić praktykę marynarską na specjalnie dla szkoły przydzielonym statku.

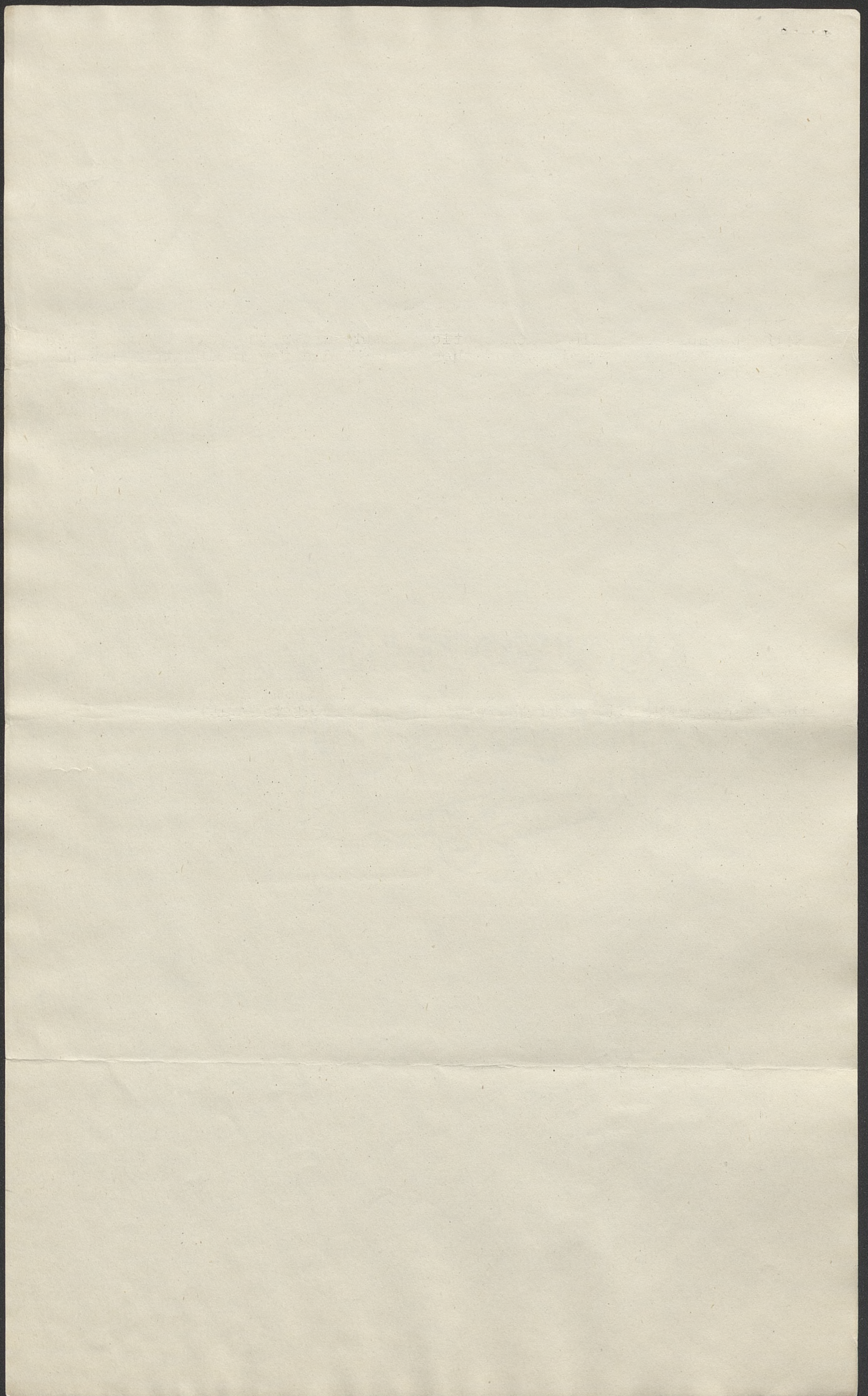
2/ Drugim większym ośrodkiem szkolenia będzie Pietermaritzburg w Południowej Afryce, gdzie władze miejscowe zgodziły się na zorganizowanie na tamtejszym Technical College polskiego ośrodka szkolenia zawodowego. Przy College utworzone zostaną specjalne klasy dla uczniów polskiej Wysokiej szkoły, dające gwarancję dobrego wykształcenia zawodowego młodzieży, dla której odbywać się będą ponadto dodatkowe wykłady polskich przedmiotów.

Zatwierdzony przez M.P. i O.S. oraz Min. W.R. i O.P. plan przewiduje na początek 709 uczniów przeniesionych z osiedli Afryki Wschodniej i Południowej. Koszta utrzymania i wyekwipowania uczniów ponosić będzie M.P. i O.S., koszta nauki zaś Min. W.R. i O.P.

3/ Trzecim terenem szkolenia zawodowego młodzieży ma być Polska Szkoła Techniczna w Cambridge Springs w Stanach Zjednoczonych. Jest to szkoła prowadzona od szeregu lat przez Związek Narodowy Polski, który oferuje obecnie bezpłatnie pomieszczenie i całkowite utrzymanie dla 150 uczniów z osiedla Santa Rosa w Meksyku. W osiedlu tym trudności zorganizowania własnego szkolnictwa zawodowego dla chłopców są takie same, jak w Wschodzie. Ponieważ wykłady w szkole w Cambridge Springs prowadzone są łącznie po angielsku, przewiduje się więc dodatkowe lekcje przedmiotów polskich.

Oprócz tych trzech głównych punktów szkolenia zawodowego chłopców właściwe władze projektują również umieszczanie mniejszych grup młodzieży w szkołach brytyjskich w Anglii. Jest więc nadzieja, że młodzież







nie zmarnuje okresu przymusowego wygnania, lecz wróci do kraju dobrze przygotowana do czekających ją bezwzględnie ciężkich zadań.

Wiedeńska.

#### THE GERMANS BEHIND THE NAZIS.

Himmler issued an order announcing that the life of a prisoner in a concentration camp belongs to the Führer. Therefore the decision of the life or death of a prisoner rests in the hands of the Kampfführer as Hitler's representative.

I was told this by a man who has recently escaped from a concentration camp in Germany. He was himself a victim of this order during the four long years of his imprisonment. After hearing his story, I was particularly interested to hear of the behaviour of the Germans imprisoned with him. Were they really good Germans on whom we can depend, and who will be able to build a democratic Germany after the war. He hesitated a moment before answering, and then described a few incidents which he had witnessed.

The Germans in the camp consisted mainly of political prisoners. They were certainly treated better than the prisoners of other nationalities, and always given the administrative jobs. The office where all death sentences were prepared and identity papers examined was completely staffed by German political prisoners. Each group of buildings has a German prisoner in charge, and each room had the same. These men were not responsible to anyone for their actions within their own domain. According to this young Pole, the behaviour of these political prisoners was, if possible, more despicable than that of the S-S guards. They deprived the other prisoners of some of their meagre allowance of food by allotting the largest helpings to themselves. They punished the other prisoners for the slightest offense either by beating or by denouncing them to the S-S guards. The young man mentioned particularly one man, Fritz Haupt, notorious for his cruelty towards the Poles, Dutch and British.

There was no intercourse between the German prisoners and those of other nationalities, and it would be a great mistake to imagine that these men could be counted upon as "good Germans" on their release. Their only crime was that they differed politically from the Hitler regime, but they agree with Hitler in their hatred of the Allied nations, and the future that Great Germany should play in Europe.

There was another aspect of prison life in connection with the local civil population. He saw little of them while in the camp, but when they were sent outside to work on the land, and on the roads, they encountered the hostile attitude of the passers-by. Children, encouraged by their elders, threw stones at them, and any prisoner slackening from his work would immediately be reported to the S-S by the civilians.

The young man looked sad as he told me this, for he fully realised that he was disappointing my hopes, but at the same time he felt it his duty to inform as many of his friends as possible of the true attitude of the German people behind the Nazi regime.

by Z. Nagórski, jr.

#### BERLIN TO FALAISE IN FIVE DAYS.

It was a foggy morning and visibility was restricted to a couple of yards. Fighting was fierce on the line between Caen and Falaise that morning. Patrols were sent forward to reconnoitre the German advance posts, they were met by a very accurate machine gun fire. When one of the patrols was about to withdraw, the officer in charge having been killed, they heard someone shouting "Comrades"! The patrol stopped with their guns fixed, waiting for the voice to come nearer.

Two men in S-S uniform approached. An N.C.O. went forward, and escorted the prisoners, until they came to a place of safety. One of the S-S men declared in broken English that we was a Pole, escaped from a concentration camp at Oranienburg near Berlin five days before, and that the other man was a German who had escaped with him. The Pole told how he had spent four years in this camp, and explained the strange circumstances of his escape with a German. Having acquired an S-S uniform, the Pole managed to persuade the German that his only hope of survival was to give himself up.

The N.C.O. did not appear to be convinced by this story. But it was true. The German is now in a Prisoner of War Camp, and the Pole is in the Polish Army in Scotland.

by Z. Nagórski, jr.



